

MAGICZNE BAJKI
NA DZIECIĘCE
SMUTKI

BAJKI POMAGAJKI
DLA NIECO STARSZYCH DZIECI

MAGICZNE BAJKI
NA DZIECIĘCE
SMUTKI

BAJKI POMAGAJKI
DLA NIECO STARSZYCH DZIECI

**Wydawnictwo pod honorowym patronatem
Burmistrza Miasta i Gminy Skawina
Adama Najdera**

© Urząd Miasta i Gminy w Skawinie

Wydawcy:

Urząd Miasta i Gminy w Skawinie
Centrum Wspierania Rodziny
Biblioteka Pedagogiczna w Skawinie
Wydawnictwo Promo

Redakcja:

Krystyna Drożdżewicz
Lidia Ippoldt

Autorki tekstów:

Agnieszka Borowiecka, Lidia Ippoldt, Marta Jurek, Anna Monika Kowalik,
Urszula Lisowska-Kożuch, Agnieszka Pospuła

Korekta:

Maciej Malinowski

Ilustracje:

Magdalena Drożdżewicz

Projekt, przygotowanie do druku, druk:

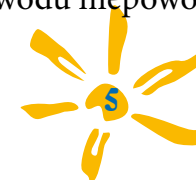
Wydawnictwo PROMO
Zakrzów 346, 32-003 Podłęże
Tel./fax 12 25 00 939, tel. kom. 502 43 13 54
e-mail: wyd_promo@tlen.pl

ISBN: 978-83-60941-89-8

Publikacja wydana w ramach akcji Skawińskie Dni Profilaktyki,
pod hasłem „Bądź bliżej dziecka, uchronisz je od uzależnień”,
stanowiącej element Gminnego Programu Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów
Alkoholowych i Gminnego Programu Przeciwdziałania Narkomanii

Spis treści

Wprowadzenie.....	9
O pająku, który nie umiał tkąć swej sieci (dla dzieci z negatywnym nastawieniem do niektórych zadań).....	11
Kamil – pogromca smoka (dla dzieci z trudnościami w czytaniu i negatywnym stosunkiem do czytania).....	20
Książkowe królestwo (dla dzieci z dysleksją).....	31
Kedulonsark – leworęczny krasnoludek (dla dzieci z trudnościami w nauce).....	36
Kłopoty biedronki Mai (dla dzieci smutnych z powodu niepowodzenia w szkole).....	42



Jędrus – internauta (dla dzieci spędzających zbyt dużo czasu w Internecie).....	45
Smak wspólnego zwycięstwa (dla dzieci źle znoszących porażki).....	51
Opowieść wróżki (dla dzieci z mniejszym poczuciem wartości).....	60
Zły humor Piotrusia (dla dzieci chorych i ich zdrowych kolegów).....	64
Bajka o tchórzliwej muszce i molu książkowym (dla dzieci z lękiem wysokości).....	68
O niewinnie posądzonym lisie (dla dzieci, które zbyt szybko oceniają kolegów).....	74
Lawina w pokoju Dorotki (dla dzieci niedbających o ład i porządek w swoim otoczeniu).....	85
Miś Leon (dla dzieci zmęczonych).....	92

Drodzy Rodzice,

oddajemy w Wasze ręce kolejny tomik bajek. Tym razem dedykujemy go dzieciom, które rozpoczynają naukę w szkole.

Jest to w ich życiu zupełnie nowy etap. To pierwsze kroki w samodzielność. Jak nasi milusińscy poradzą sobie w nowej sytuacji, w dużej mierze zależy od nas, dorosłych.

Mam nadzieję, że ten zbiór bajek pomagając pomoże rodzicom nawiązać lepszy kontakt z dziećmi.

Przeczytajcie wspólnie z Waszymi pociechami bajki, które znajdują się w tym tomiku, a potem porozmawiajcie. Może podczas wspólnie spędzonych chwil uda Wam się zdiagnozować pojawiające się problemy z nauką, znaleźć odpowiedzi na dręczące dzieci pytania, odgonić strachy wylaniające się z ciemnego kąta...

Terapeutyczne działanie czytania dzieciom jest powszechnie znane. Bajki napisane przez specjalistów dodatkowo pomagają rozwiązywać problemy związane z rozpoczęciem nauki w szkole i uporządkować emocje, z którymi same sobie nie umieją poradzić.

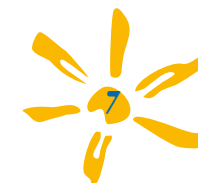
Czas poświęcony na wspólne czytanie sprzyja wytworzeniu więzi pomiędzy dziećmi i rodzicami, buduje wzajemne zaufanie, wzmacnia poczucie bezpieczeństwa.

Teksty napisane są łatwym i zrozumiałym językiem, a akcja poszczególnych bajek przykuwa uwagę młodych czytelników.

Gorąco pozdrawiam wszystkie dzieci. Zapraszam Was do lektury i życzę wszystkim miłych wrażeń.

Adam Najder
Burmistrz Miasta i Gminy Skawina

Skawina, 19 kwietnia 2012 r.



Wprowadzenie

Drodzy Rodzice, Nauczyciele, Wychowawcy,

oddajemy w Państwa ręce drugi zbiór bajek pomagajek, tym razem przeznaczony dla nieco starszych dzieci, bo tych z pierwszych klas szkoły podstawowej. W zbiorze znalazło się 13 tekstów poświęconych dziecięcym smutom (niepowodzeniom szkolnym, nietolerancji, odrzuceniu, lękom, chorobie). Mamy nadzieję, że zaproponowane przez nas opowieści pomogą dzieciom pokonać różne trudności, nauczą je tolerancji, podniosą u dzieci poczucie własnej wartości, ale również zrelaksują te zmęczone i smutne.

Liczymy też na to, że bajki ułatwią uczniom wyrażanie i nazywanie swoich uczuć i emocji, co z pewnością poprawi ich relacje z rówieśnikami.

Zachęcamy więc Państwa do wykorzystywania naszych tekstów, szczególnie wtedy, kiedy zauważacie Państwo u dzieci podobne problemy, jak te, które pojawiają się w bajkowej krainie. Przybliżcie je Państwo Waszym dzieciom tak, by i one samodzielnie sięgały do tych opowieści. Dla nas będzie to największą satysfakcją.

Przekazujemy Państwu „Magiczne bajki” z ogromną nadzieją, że spotkają się one z równym zainteresowaniem, jak poprzedni tomik i okażą się pomocą w pracy wychowawczej.

Serdecznie dziękujemy wszystkim osobom, które przyczyniły się do wydania zbioru, a szczególne podziękowanie wyrażamy Pani Marcie Jurek ze Specjalistycznej Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Skawinie za użyczenie swoich tekstów wykorzystywanych podczas zajęć z dziećmi.

*Krystyna Drożdżewicz
Lidia Ippoldt*



O pająku, który nie umiał tknąć swej sieci

(dla dzieci z negatywnym nastawieniem do niektórych zadań)

*T*ego dnia pajączek Hirek wracał ze szkoły wyjątkowo przygnębiony.

– Widzę, że nie jesteś dzisiaj w najlepszym humorze – zagadnął go w gimbusie kolega ze szkolnej ławy. – Aż tak przygnębiła cię dwója z tkania sieci?

– Dobrze wiesz, że w tkaniu jestem najgorszy w klasie. I pragnę ci przypomnieć, Mieciu, że to jest moja trzecia dwója! – dorzucił z goryczą Hirek.

– Może po prostu przysiądź nad tym w domu i poproś rodziców o pomoc. Jak trochę poćwiczysz, to poprawisz oceny – poradził mu kolega.

– Wielkie dzięki za taką radę! Myślisz, że nie próbuję? Nigdy się tego nie nauczę!

„A może Miecio ma rację?” – zaczął się zastanawiać Hirek, wlokąc się z poczuciem beznadziei z przystanku do domu.



„Może rzeczywiście powinienem przyznać się rodzicom, jakie mam problemy z tkaniem sieci?”

Pajęczek Hirek wahał się jeszcze przez chwilę, zbliżając się do domu. Dochodząc do furtki ogrodowej, był już zdecydowany, że od razu powie o wszystkim, najlepiej zaraz przy obiedzie, zanim się rozmyśli. Mama była podobno najlepsza w szkole z tkania, a tata też radził sobie z tym całkiem nieźle. Hirek z nową nadzieją w sercu pchnął furtkę i ruszył zdecydowanym krokiem do domu. Gdy tylko przekroczył próg, przywitał go pyszny zapach jego ulubionego dania oraz widok taty, który właśnie wręczał mamie sieć utkaną specjalnie dla niej.

W tym momencie pajęczkowi Hirkowi zrobiło się głupio i wstyd, że należąc do rodziny pajaków, nie potrafi sam utkać sieci. Postanowił zatem nie mówić nic rodzicom o swoich kłopotach.



Następny dzień wcale nie okazał się lepszy od poprzedniego. Pani Dziergawa, która uczyła tkania sieci, ogłosiła, że dokładnie za tydzień odbędzie się finał szkolnego konkursu na najdłuższą sieć pajęczą, a klasa, która w nadchodzącym tygodniu utka najdłuższą sieć, wygra wycieczkę do zamku i nocleg w podziemiach!

– Jest wśród was wielu wspaniałych uczniów, którzy bez najmniejszych trudności tkają pajęczę sieci. Macie zatem bardzo dużą szansę na wygraną, pod warunkiem, że zaczniecie już dziś. Dla tych, którzy mają jeszcze trudności z tkaniem, konkurs może być wspaniałą okazją do doskonalenia niełatwej, ale pasjonującej sztuki tkania – zachęciła nauczycielka, posyłając znaczący uśmiech najpierw w stronę pajęczycy Lilki, która była najlepsza w tkaniu, a potem w kierunku Hirka.

Konkurs! Wycieczka w nagrodę! Mobilizacja całej klasy! I żadnego dobrego wyjścia z sytuacji. Jeśli się nie włączy w przygotowania, to zachowa się nieuczciwie wobec kolegów, ale jeśli się zaangażuje, to będzie tylko utrudniał i spowalniał pracę. Hirek po raz pierwszy doświadczył, co to znaczy znaleźć się w pułapce. I niemal w tej samej chwili poczuł zimny dreszcz na plecach.

Autobus szkolny włókł się niemiłosiernie, tak przynajmniej wydawało się Hirkowi. Z tylnego siedzenia, tuż za jego plecami, dobiegały radosne głosy dziewcząt, które umawiały się u Lilki w domu, żeby rozpocząć przygotowania do pracy.

– Im wcześniej zaczniemy, tym lepiej – przekonywała siedząca obok Lilki Zuza. – Musimy wygrać tę wycieczkę. Jeszcze nigdy nie nocowałam w zamku. To musi być takie romantyczne!

„Dziewczyny...” – pomyślał z niechęcią Hirek i odwrócił się w stronę Miecia.

Niestety, ku zaskoczeniu Hirka siedzenie obok było puste. Zamiast kolegi Hirek usłyszał tylko jego głos zapewniający o tym, że oczywiście jak najbardziej się przyłączy i że może



tkać od szesnastej do osiemnastej, bo potem musi pilnować siostry.

„Znalazł się, szydełkowy Romeo!” – pomyślał ze złością Hirek, nasłuchując dalszego ciągu rozmowy.

– Świetnie – ucieszyła się Lilka. – Słuchajcie, u mnie na strychu jest jeszcze książka o tkactwie. Należała do mojej babci. Możemy wybrać jakiś ciekawy ścieg, na przykład ażurowy! Takiej sieci nikt nie utka!

„To koniec” – pomyślał Hirek, kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi szkolnego autobusu i znalazł się zupełnie sam.

Jak zwykle po zajęciach z tkania sieci powlókł się wolniutko w stronę furtki. Kiedy już, już miał pchnąć furtkę i przejść przez przydomowy ogród, nagle doznał olśnienia. Lilka ma książkę o tkaniu sieci! To jest myśl! Trzeba poszukać w bibliotece jakiegoś podręcznika albo przewodnika! W tej samej chwili Hirek, zamiast udać się do domu na obiad, zawrócił i popędził czym prędzej do biblioteki.

„Nareszcie wieczór” – pomyślał Hirek, zapalając lampkę stojącą na biurku i wyciągając z plecaka poradnik: *Tkanie sieci, krok po kroku*.

Pajęczkowi wydawało się, że ta pora nigdy nie nadejdzie. Z zapalem otworzył książkę i przeczytał, jaki jest pierwszy, zalecany krok.

„Krok pierwszy: zdecyduj, gdzie zechcesz utkać sieć” – przeczytał na głos.

„Na razie dobrze mi idzie” – pomyślał Hirek, rozglądając się po pokoju i upatrując sobie zaciszny kąt między łóżkiem i szafą, po czym powrócił do lektury.

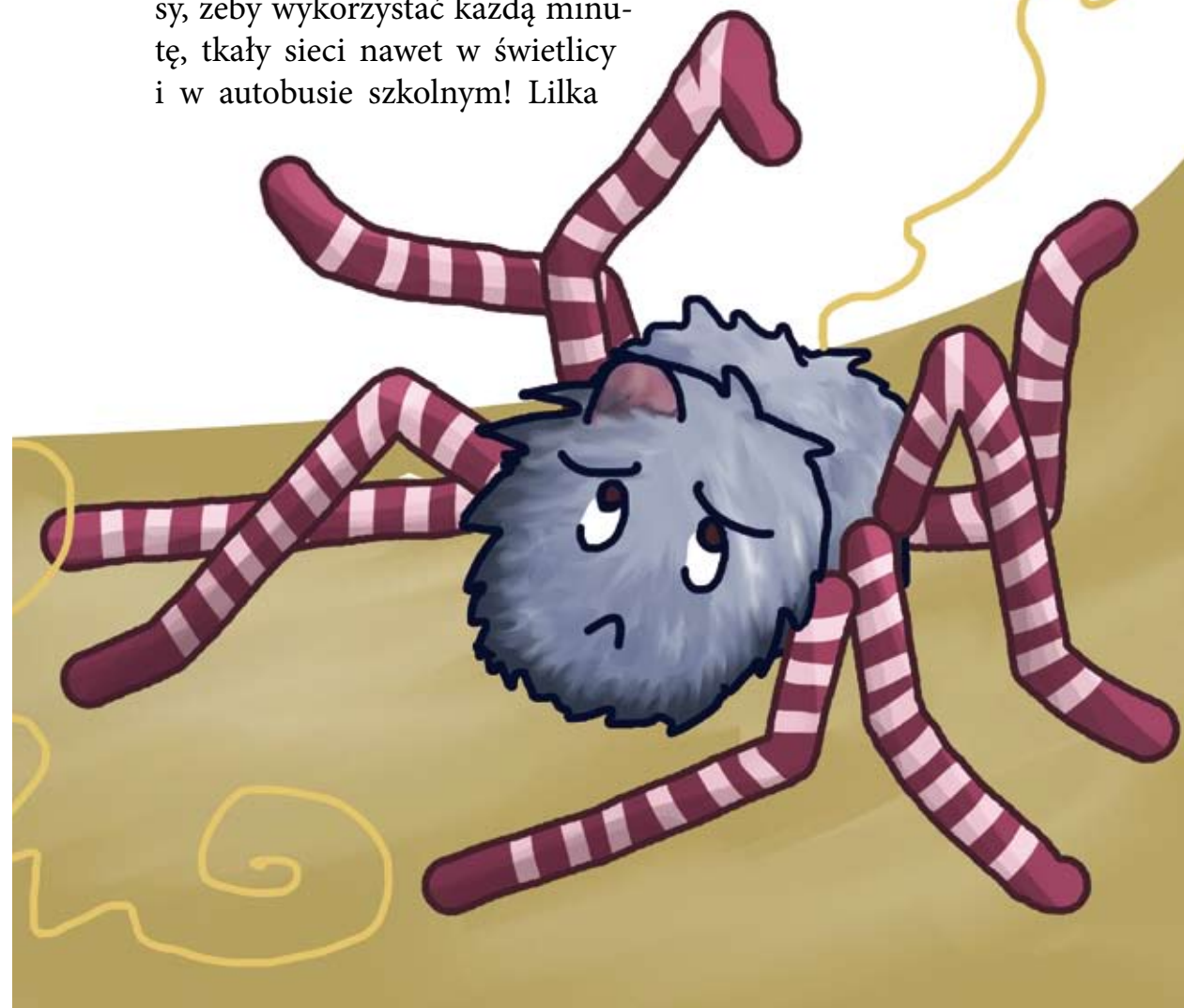
„Krok drugi: stań w tym miejscu i zrób pierwsze wiązanie”.

Hirek nieco niezdarnie, ale poprawnie wykonał kolejne polecenie, po czym zajrzał do książki, która podpowiadała, żeby tworzyć następne wiązania, ponad pierwszym.

Pajęczek z bijącym sercem zaplatał maleńką sieć i ku swemu zadowoleniu spostrzegł po chwili, że powoli wznosi się ku górze. A zatem tkanie sieci rzeczywiście nie jest takie trudne! Skoro może się przemieszczać po sieci w górę i w dół to znaczy, że na razie wszystko idzie dobrze. Ale zaraz... trzeba tylko sprawdzić, jaki jest następny krok. Hirek chciał przechylić głowę, ale niestety odszedł już za daleko od poradnika.

– Trudno, muszę trochę zawrócić, ale tak, żebym sobie nie zniszczył połączeń – postanowił, lecz niestety w tym właśnie momencie poślizgnął się, rozerwał sieć na pół i upadł na podłogę, nabijając sobie na czole potężnego guza.

Tymczasem przygotowania do konkursu trwały. Niektóre klasy, żeby wykorzystać każdą minutę, tkwały sieci nawet w świetlicy i w autobusie szkolnym! Lilka



i Zuza rozpięły grafik, kto kiedy może tkać, żeby sieci cały czas przybywało.

– I tak nie wygracie! – odgrażał się któregoś dnia na szkolnym korytarzu gruby pająk z równoległej klasy. – Przy nas nie macie szans!

– Pilnujcie własnej sieci – odgryzła się Lilka. – O naszą się nie martwicie.

– Jeszcze zobaczymy kto wygra! – nie dawał tamten za wygraną. – Lepiej, żeby nie wy, bo poumieracie wszyscy ze strachu w tym zamku. Che, che!

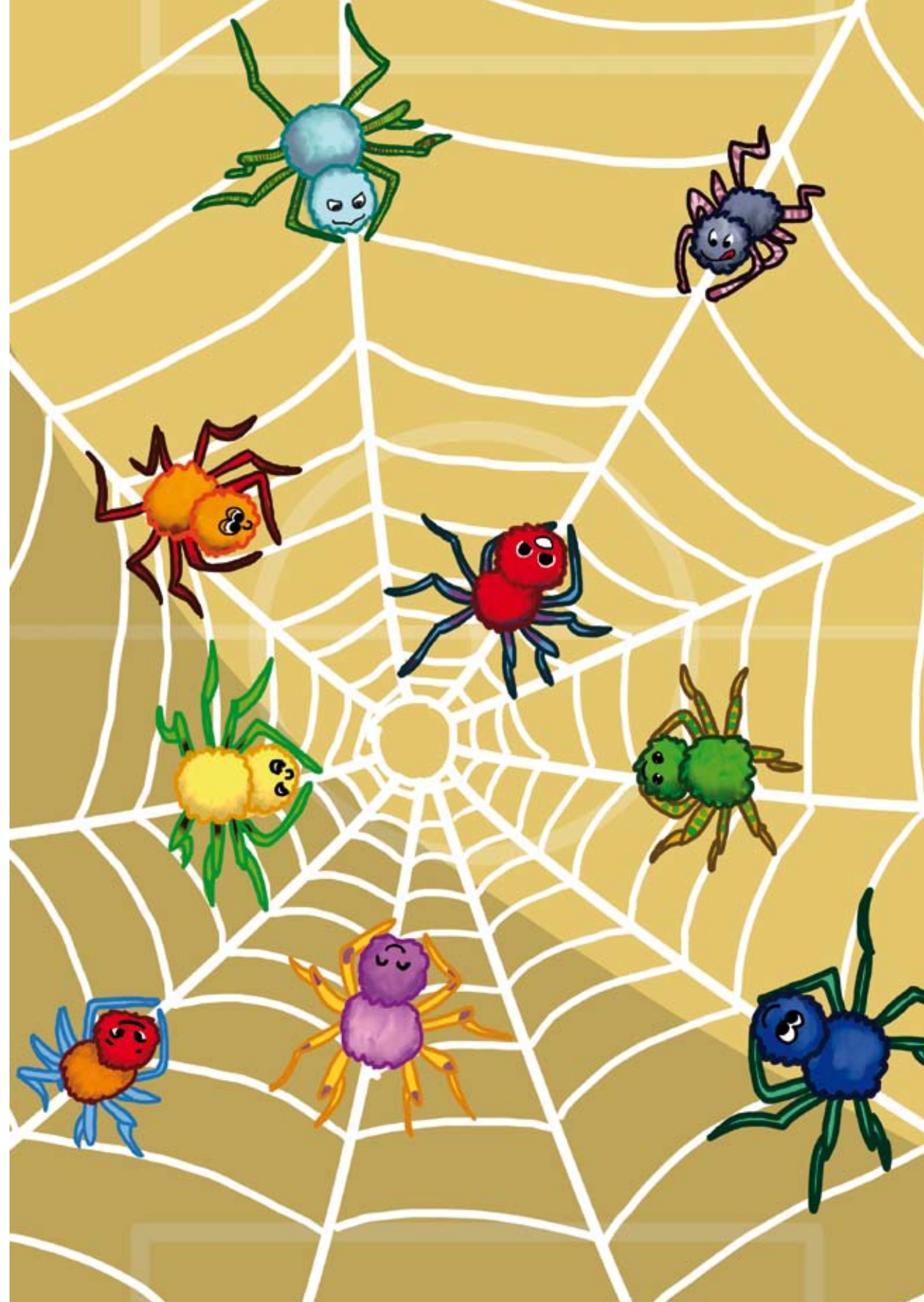
Czas naglił. Hirek, który nie chciał być uznany za nieko-leżeńskiego lenia, zgłosił się, że może pomóc w tkaniu raz w tygodniu. Nie radził sobie jednak najlepiej. Pracował wolno i choć nikt mu tego nie okazywał, po kryjomu poprawiano po nim wykonane fragmenty sieci. Hirek starał się jednak jak najwięcej pomóc kolegom i nadal co wieczór ćwiczył tkanie z pomocą przewodnika. I tak po sześciu dniach wytężonej pracy udało się stworzyć potężną pajęczynę, którą spokojnie można by przykryć całą szkolną salę gimnastyczną. Rozpięta z pomocą wychowawczyni, jak wielki hamak, czekała, aż następnego dnia zmierzą ją jurorzy. Hirek popatrzył na klasowe dzieło z ulgą. Spotkanie na każdym kroku tkających sieci kolegów stawało się już ponad jego siły. Nareszcie miały dla Hirka nastąpić spokojniejsze czasy.

Po południu zadzwonił Mieciu.

– Hirku, nie mamy pajęczyny na konkurs!

– Jak to nie mamy, skoro jeszcze dziś mieliśmy? – zdziwił się Hirek, przeczuwając, że musiało się stać coś złego.

– Zniszczyli naszą sieć! Lilka, wracając po kółku teatralnym, widziała ją potarganą. Pamiętasz, jak się odgrażali? Skończyli dziś lekcje później niż my! Sala była pusta! – Miecio krzyczał do słuchawki, a Hirek zaczął wszystko rozumieć. – Ale nie podda-



jemy się, słyszysz?! Spotykamy się wszyscy u Lilki i naprawiamy, co się da! Jutro finał konkursu! Do zobaczenia!

Pół godziny później Hirek tkał w najlepsze razem z całą resztą grupy. Należało odtworzyć przerwane wiązania i wzmocnić te naderwane. Nie wiadomo, czy oburzenie na nieuczciwego przeciwnika, czy codzienny trening z samouczkiem, a potem pomoc w przygotowaniach konkursowej pajęczyny sprawiły, że Hirek tkał szybciej niż zwykle. Nie trzeba też było tak często poprawiać jego wiązań. Mama Lilki zrobiła dla całej klasy kanapki, tak że cała ekipa mogła pracować do późnego wieczora. Na pewno stracili sporo czasu na naprawę sieci. Pajęczyna nie była też tak ładna jak przedtem, ale nadal zachwycała swoją wielkością. Teraz pozostawało tylko liczyć na powodzenie...

Okazało się, że szczęście ich nie opuściło. Jurorzy oceniający konkursowe pajęczyny z panią Dziergawą na czele właśnie im przyznali pierwsze miejsce! Co prawda, równoległa klasa utkała dłuższą sieć, ale pani sprzątająca nakryła ich w kantorku konserwatora dokładnie wtedy, gdy odkładali na miejsce narzędzia skradzione do zniszczenia pajęczyny. Zdradziły ich ślady błota pozostawione na świeżo umytej podłodze. Przyznali się od razu do zniszczenia sieci rywala i zostali zdyskwalifikowani.

– Jestem z was dumna – powiedziała pani Dziergawa, wręczając bilety delegacji zwycięskiej klasy złożonej z Lilki, Miecia, Zuzy i Hirka.

Tego dnia Hirek w zupełnie innym nastroju wracał szkolnym autobusem do domu.

– Wiesz, to tkanie pajęczyn chyba rzeczywiście nie jest takie trudne – zwierzył się zajądającemu obok kanapkę Mieciowi.

– A widzisz! Ale przyznaj się, jak się nauczyłeś, bo idzie ci całkiem nieźle – pochwalił go kolega.

– W dniu ogłoszenia konkursu wypożyczyłem z biblioteki poradnik *Tkanie sieci krok po kroku* i trenowałem co wieczór,



choć przyznam, że bez entuzjazmu. Nikt mi nic nie mówił, ale widziałem, jak poprawiacie po mnie to, co miałem wykonać. Aż dopiero wczoraj, kiedy trzeba było ratować całą klasę i pracować jak najszybciej, skoncentrowałem się tylko na tkaniu i jakoś tak zaczęło mi to wychodzić. Myślę, że wcześniej od razu zakładałem, iż mi się nie uda, i zajmowałem się głównie ukrywaniem tego, że nie potrafię tkać – przyznał szczerze Hirek.

– To też trochę nasza wina. Zajęliśmy się konkursem i zupełnie nie pomyśleliśmy o tym, żeby ci pomóc. Lilka czy Zuza na pewno by się zgodziły. Ja w sumie też nie tkam najgorzej...

– Wiesz, Mieciu, tak sobie myślę, że skoro nauczyłem się tkać pajęczyny, to teraz nic już nie wyda mi się trudne. Jestem pewien, że wszystkiego mogę się nauczyć, jeśli naprawdę będzie mi zależało i wezmę się do pracy. – Tak jak teraz do jedzenia – uśmiechnął się Hirek i wyciągnął z plecaka kanapkę.

Marta Jurek



Kamil

– pogromca smoka

(dla dzieci z trudnościami w czytaniu
i negatywnym stosunkiem do czytania)

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, w niewielkim zamku mieszkał mały królewicz Kamil. Był szczęśliwym dzieckiem – często biegał po wielkim parku ze swoim ulubionym psem, zrywał owoce prosto z drzewa, z głośnym śmiechem płoszył gołębie. Gdy padał deszcz, układał z klocków zamki, walczył ze smokami albo słuchał bajek, które opowiadała mu babcia.

Pewnego dnia wszystko się zmieniło. Po śniadaniu rodzice zatrzymali małego królewicza:

– Synku, masz już sześć lat, musisz się nauczyć czytać i pisać. Kiedyś będziesz rządził tym królestwem, a jak wiesz, król musi być mądry. Od jutra będziesz chodził do szkoły.

Królewicz nawet się ucieszył. Pomyślał sobie:

„W szkole poznam inne dzieci, będę się z nimi bawił. Pokażę im moje zabawki. No i nauczę się różnych, ciekawych rzeczy”.



Pierwszy dzień w szkole był bardzo udany. Pani Marta przywitała się z każdym dzieckiem i wymyślała różne zabawy. Królewicz poznał księcia Karola, którego bardzo polubił. Nowy kolega miał szalone pomysły i ciągle czymś zaskakiwał królewicza.

Po kilku tygodniach pani Marta zaczęła pokazywać dzieciom litery. Wkrótce chłopiec zauważył, że niektóre dzieci pamiętają je bardzo dobrze, a on je ciągle myli. Nie czuł się z tym dobrze. Starał się ćwiczyć w domu, ale cóż... ciekawsza była walka ze smokami. W szkole dzieci poznały już samogłoski: a, o, u, e, y, i, oraz łączyły z nimi pozostałe literki. Niektórzy potrafili odczytać proste wyrazy! Tygodnie mijały szybko..., a królewicz nie mógł sobie poradzić z nauką czytania, chociaż bardzo się starał.

Pewnego dnia odruchowo podniósł rękę do buzi i zagryzł zęby. Zazgrzytało i... kawałek paznokcia odpadł! Chłopiec poczuł dziwną ulgę. Szybko obgryzł drugiego paznokcia i trzeciego... Nie zauważył, kiedy obgryzł wszystkie. Od tego czasu, gdy tylko czymś się zdenerwował, od razu obgryzał paznokcie.



Rodzice bardzo się martwili:

– Synku, nie obgryzaj paznokci, tam są brud i bakterie. Rozchorujesz się – tłumaczyli, ale to nie pomagało.

– Kochanie, kupię ci nową zabawkę – obiecywała mama – tylko nie obgryzaj, proszę.

Królewicz bardzo, bardzo chciał mieć nową zabawkę, ale nawet nie zauważył, że znów trzyma palce w buzi...

– Przestań obgryzać, bo będziesz ukarany! – krzyczał zdenerwowany król.

Ale nawet strach przed karą nie pozwolił królewiczowi zapamiętać nad sobą.

– Przepraszam, nie mogę. Ja nawet nie wiem, kiedy zacznę obgryzać – tłumaczył się zmartwiony chłopiec. – A jakie mam teraz brzydkie paznokcie. Co mogę zrobić, żeby przestać, no co?

Smutny położył się spać.

Rano obudził go śpiew ptaków. Gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą sufit z namalowanymi gwiazdami i księżycem. „Gdzie ja jestem?” – pomyślał. Usiadł i zawołał:

– Mamo?

Ale tylko echo mu odpowiedziało. Wstał, powoli ubrał się w leżące na krześle ubranie i wyszedł z komnaty. Po korytarzu biegali ludzie, coś krzyczeli, niektórzy płakali.

„Co się tu dzieje?” – pomyślał chłopiec.

Wtem zobaczyła go jedna z pokojówek. Podbiegła do Kamila i szybko zaprowadziła do olbrzymiej sali. Na tronie siedziała smutna dziewczyna w pięknej sukni.

– Kim jesteś? – zapytał królewicz.

– Jestem królowną Wiolą i rządę tym nieszczęsnym królestwem.

– Dlaczego nieszczęsnym? – zainteresował się chłopiec. – I co to słowo w ogóle znaczy?



– Potworny smok zamieszkał w moim królestwie i zamienia ludzi w niewidzialne istoty. Bawi się z nimi, każe rozwiązywać zagadki i daje różne zadania do wykonania. A jeśli ktoś nie potrafi sobie z nimi poradzić, to staje się przezroczysty. Smok zna wszystkie słabe strony każdego człowieka i wykorzystuje tę wiedzę.

– To straszne – wykrzyknął królewicz – A w jaki sposób można go pokonać?

– Tylko ten, kto odpowie na wszystkie jego pytania i wykona zadania, sprawi, że smok straci swoją moc i skamienieje na wieki.

– To może ja pójdę i spróbuję? – zapytał Kamil.

– Nie możesz, bo znikniesz, jak wielu innych. Nawet odważni rycerze i nasi uczeni nie pokonali smoka. Tylu ludzi już zniknęło! Niedługo królestwo opustoszeje, a mnie smok uwięzi w swojej pieczarze...

Królewicz zamyślił się głęboko. Bardzo współczuł królownie.

– Pójdę i spróbuję! – postanowił.

Gdy wyszedł z zamku, straż z hukiem zatrzasnęła za nim bramę. Wszyscy bali się smoka. Kamil szedł długo, wędrował leśnymi ścieżkami, wspinał się po górach, przeprował przez rzekę. Czasami zastanawiał się, czy nie zawrócić. Na szczęście w plecaku, który zabrał ze sobą, było jedzenie i picie, które dało mu siłę do dalszej wędrówki.

Gdy wieczorem stanął przed olbrzymią pieczarą, zaczął się bać.

„Co ja tu robię?” – pomyślał. „Tylu dorosłych sobie nie poradziło. Po co ja tu przyszedłem?”

Zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić do zamku.

– Ha!, widzę tu nowego śmiałka. Mały, nie za mały jesteś? – zaśmiał się smok, a jego rechot wystraszył ptaki, które uniosły się z wrzaskiem z pobliskich drzew i pofrunęły w kierunku lasu, byle dalej od potwora.

– Może jestem mały, ale spróbuję cię pokonać – dzielnie odpowiedział Kamil, chociaż olbrzymi smok go przeraził.



– Zobaczmy, zobaczmy – zamruczał gad i uderzył łapą w olbrzymi głaz, który miał za sobą.

Chłopiec odniósł wrażenie, że zatrzęsała się ziemia, ale nie ruszył się z miejsca. Smok ryknął tak głośno, że z najbliższych drzew pospadały liście. Królewicz postarał się nie drgnąć. Smok zionął ogniem i spalił drzewo stojące koło Kamila. Gorące powietrze osmaliło chłopca, łzy stanęły mu w oczach, ale dzielnie stał nadal.

– No dobrze – ryknął smok. – Wytrwałeś, więc możesz wejść do jaskini. Wyznaczę ci zadanie do wykonania. Jeżeli nie uda ci się zrobić tego, co ci każę, znikniesz. Nikt więcej cię nie zobaczy.

– Zgadzę się – odpowiedział cicho królewicz.

Pieczara była mroczna, ogromna i było w niej bardzo gorąco. Po dłuższej chwili, gdy wzrok oswoił się z ciemnością, Kamil zauważył, że w niektórych miejscach paliły się pochodnie dające trochę światła. Pod ścianą stała wielka klatka.

– Tu zamknę królową, gdy wszystkich jej poddanych zaczną – powiedział smok. – Nikomu nie uda się jej uwolnić. Nigdy nie zobaczy słońca, gwiazd, trawy, drzew. Będzie moja na wieki.

„Biedna królowa” – pomyślał chłopiec. „Nie mogę do tego dopuścić!”

– Popatrz na mnie – zażądał smok.

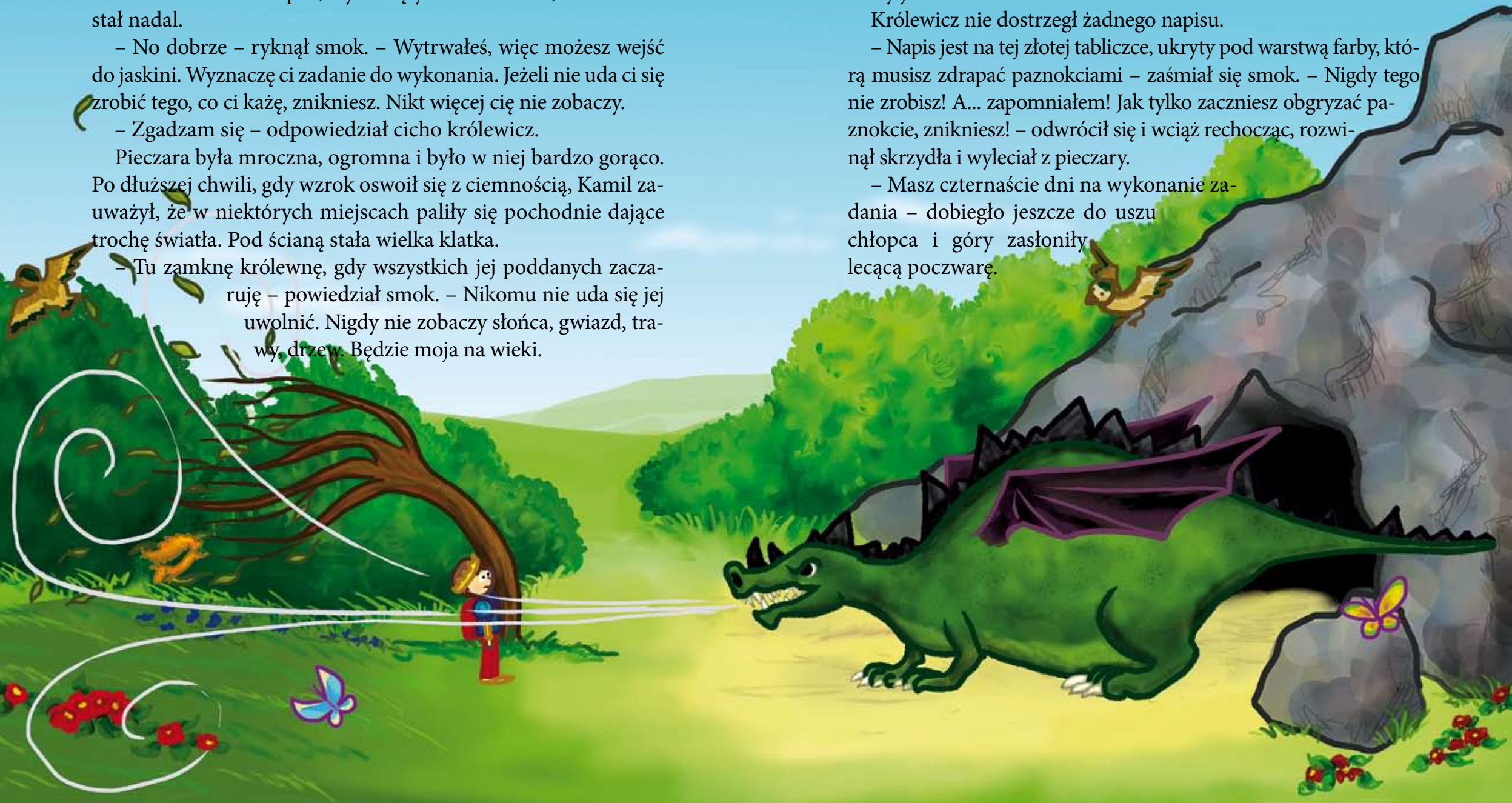
Długo patrzył w oczy Kamila i wreszcie ze złośliwym uśmiechem, niewróżącym nic dobrego, rzekł:

– Już wiem, jakie zadanie ci wyznaczę. Musisz odczytać napis, który jest na tabliczce koło klatki.

Królewicz nie dostrzegł żadnego napisu.

– Napis jest na tej złotej tabliczce, ukryty pod warstwą farby, którą musisz zdrapać paznokciami – zaśmiał się smok. – Nigdy tego nie zrobisz! A... zapomniałem! Jak tylko zaczniesz obgryzać paznokcie, znikniesz! – odwrócił się i wciąż rechocząc, rozwinął skrzydła i wyleciał z pieczary.

– Masz czternaście dni na wykonanie zadania – dobiegło jeszcze do uszu chłopca i góry zasłoniły lecącą poczwarę.



Królewicz był przerażony.

– Przecież ja nie umiem czytać! I jak mam przestać obgryzać paznokcie?

Gdy tylko o tym pomyślał, ręka machinalnie powędrowała do ust i zanim się zorientował, zdążył obgryźć jednego paznokcia.

– O nie! – wykrzyknął. – Część palca zniknęła! Królewicz rozpłakał się.

– To ponad moje siły. I co ja mam teraz zrobić? – zmęczony i bardzo wystraszony zasnął.

Gdy obudził się rano, próbował wyjść z jaskini, ale niewidzialna bariera odpychała go od krawędzi. Wiedział, że nie zdoła uciec. Zaczął obchodzić jaskinię. W jednym kącie znalazł małej strumyk. Zimna i krystalicznie czysta woda zmyła z niego resztki snu. W drugim kącie znalazł suchy chleb, owoce i trochę sera. Zjadł co nieco, pocieszając się, że przynajmniej nie umrze z głodu. Potem usiadł i zaczął rozmyślać.

„Muszę nauczyć się czytać. Litery znam, krótkie wyrazy już udawało mi się przeczytać, chociaż długo to trwało. Mam 14 dni, uda mi się...”

Ale, nie zdając sobie z tego sprawy, znów zaczął obgryzać paznokcie. Kolejny palec stał się przezroczysty... Na szczęście była to ręka, którą nie pisał.

Przerażony królewicz znalazł kamień przypominający ołówek, oczyścił kawałek podłogi i zaczął pisać litery, które znał najlepiej. Gdy wieczorem zobaczył, jak dużo liter sobie przypomniał, poczuł dumę.

– Może inne też sobie przypomnę. Co Pani Marta mówiła o innych literach? Jedna błyszczała, bo naklejaliśmy cekiny.

– Już wiem, wiem, to było C! – wykrzyknął uszczęśliwiony – a S wiło się jak wąż! I napisał je wiele, wiele razy, żeby tylko nie zapomnieć, i łączył z innymi.



Mijały dni, podłogę pokrywały sylaby, które Kamil układał później w różne wyrazy. Ciężko pracował. Nawet nie zauważył, że coraz rzadziej obgryza paznokcie. Po prostu nie miał na to czasu.

Po tygodniu chłopiec potrafił ułożyć z kilku wyrazów proste zdania i przeczytać je! Nie czytał tak płynnie jak księżę Karol, ale był bardzo dumny z tego, co osiągnął. Pracował jeszcze ciężiej, układając i czytając wymyślane przez siebie zdania.

Dziesiątego dnia śpiącego królewicza obudził wrzask smoka:

– A co ty tu jeszcze robisz?! Dlaczego nie zniknąłeś?

Wściekły, uderzał łapami i skrzydłami tak mocno, że kamienie posypały się z sufitu.

– Ja, ja... – nie mógł wykrztusić chłopiec – wykonuję zadanie, które mi zleciłeś.

– To było zadanie nie do wykonania! Jak ci się udało? Pomagał ci ktoś?! – krzyczał rozzłoszczony smok.

– Nie, nikogo tu nie ma...

– Niemożliwe – mruknął smok. – Jesteś ostatni, wszystkich już zczarowałem. I mam królową.

Odwrócił się i przyciągnął sznur, do którego przywiązana była Wiola. Wepchnął ją do klatki i zamknął drzwi.

– Już nigdy stąd nie wyjdiesz.

– A ty – smok zwrócił się do chłopca – masz jeszcze cztery dni na wykonanie zadania. Po tym czasie znikniesz. Idę na polowanie.

Królowa cicho płakała.

– Nie martw się, uwolnię nas – powiedział Kamil. – Muszę tylko zedrzeć farbę z tej tabliczki i odczytać napis.

Dziewczyna czytała płynnie, więc pomagała królewiczowi w nauce. Wymyślała ciekawe historyjki i ćwiczyła czytanie razem z Kamilem. Dni jednak mijały nieubłagane. Królewicz ze zdenerwowania zaczął obgryzać paznokcie.



– Nie rób tego – krzyknęła Wiola. – Musisz zdrapać farbę!
Te słowa sprawiły, że królewicz natychmiast wyjął z buzi palce. Niestety jednak już się stało, trzy palce zniknęły...

Ostatniego, czternastego dnia królewicz zaczął zdrapywać farbę. Brakowało mu trzech palców, ale pozostałe miał, a na nich paznokcie były już długie! Nie obgryzał ich przez dwa tygodnie! Zadanie okazało się bardzo trudne, drapał i drapał, palce go bolały, ale nie poddawał się. Warstwa złotego pyłu koło jego stóp robiła się coraz grubsza. Gdy zdrapał już połowę tabliczki, usłyszał dochodzące z daleka porykiwania smoka.

– Szybciej, szybciej! – krzyczała królowa, a chłopiec pracował jak szalony.

Smok po chwili wszedł do jaskini. Widząc, co się dzieje, zionął ogniem, celując

w królową. W tym momencie stało się coś dziwnego. Złoty pył, który osiadł na podłodze, zaczął wirować coraz szybciej i szybciej, aż utworzył się z niego wielki wąż, który zasłonił chłopca i królową przed ogniem rozgniewanego gada.

– Drap, drap! – krzyczała Wiola.

Królewicz wciąż drapał, a złoty pył łączył się z węzłem, który stawał się coraz grubszy. Gdy Kamil odsłonił cały napis, wąż rzucił się na smoka i zaczął z nim walczyć.

– Odczytaj zaklęcie! – krzyczała dziewczyna.

– Chyba nie potrafię – odpowiedział spanikowany Kamil.

– Czytaj wreszcie! Potrafisz!

– La-ta o-sa ko-ło no-sa.

– Niemożliwe – pomyślał chłopiec. – Musiałem się pomylić.

– Czytaj! – wrzeszczała królowa – czytaj!

– Lata osa koło nosa – przeczytał królewicz i zamknął oczy. „Już po nas...” – pomyślał.

Nagle zapanowała cisza.

Królewicz otworzył oczy, zobaczył, że drzwi od klatki się otwierają. Wiola wybiegła z niej i mocno uściskała królewicza.

– Udało ci się, udało! Uratowałeś nas! – śmiała się i płakała na przemian.

– A co ze smokiem?

Królewicz obrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak cały złoty pył opada na smoka, który zamienia się w kamień. Czary rzucone przez gada straciły moc. Wokół Wioli i Kamila zaczęli się pojawiać ludzie. Po kilku minutach było ich tak wielu, że nie mieścili się w pieczarze.

– Chodźmy stąd – powiedziała Wiola.

Odczarowani ludzie skakali i tańczyli z radości. Dziękowali królewiczowi za wybawienie.

– Zostań z nami – zaproponowała Wiola. – Razem ze mną będziesz rządził królestwem.



Ale chłopiec miał inne plany.

– Król musi być mądry i dużo wiedzieć. Ja dopiero zacząłem się uczyć. No i tęsknię za rodzicami i kolegami... Nawet za szkołą.

– Rozumiem – uśmiechnęła się dziewczyna.

Nagle zawirował koło niego złoty pył. Był tak gęsty, że przez chwilę królewicz nic nie widział.

– Wstawaj, synku, pora iść do szkoły – usłyszał głos mamy.

– Co się dzieje? – pomyślał zdezorientowany.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że leży w swoim łóżku.

– Miałem straszny sen – powiedział do mamy. – Potworny sen.

– Chętnie posłucham – odpowiedziała królowa – ale teraz ubierz się i zejdź na śniadanie.

W szkole królewiczowi poszło świetnie. Wszyscy mocno się zdziwili, gdy Kamil przeczytał zdanie napisane na tablicy.

„Skąd ja to umiem?” – dziwił się.

Przypomniał sobie sen i szybko zerknął na paznokcie. Z ulgą zobaczył, że jego palce znów są widoczne.

– O! – pod całkiem już długim paznokciem zobaczył resztki złotego pyłu.

„A więc to była prawda!...”

Popatrzył jeszcze raz na swoje ręce i powiedział cichutko:

– Postaram się was więcej nie obgryzać, nigdy nie wiadomo, kiedy znów się przydadacie...

Urszula Lisowska-Kożuch



Książkowe królestwo

(dla dzieci z dysleksją)

Wniewielkim, ale wspaniałym królestwie, które było niesamowitą, tajemniczą krainą pełną książek, rządził książkowy król Maciej. Poddani bardzo go kochali i uważali za mądrego i sprawiedliwego władcę. A on zawsze wtedy, gdy nie wiedział, co robić, szukał rady w swoich mądrych księgach i dzięki temu podejmował dobrą, sprawiedliwą decyzję. Dlatego w królestwie Macieja żyło się wspaniale, wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni, że są podwładnymi takiego dobrego władcy.

Jednak król miał jedno zmartwienie: jego najmłodszy 9-letni syn Kacper bardzo nie lubił czytać. Król zupełnie nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Przecież, podobnie jak starszym synom, i małemu Kacprowi zawsze przed snem czytał interesujące bajki i opowieści. Kiedy chłopiec uczył się czytać samodzielnie, ojciec nie szczędził mu pochwał i był z syna bardzo dumny. Nie mógł się doczekać momentu, kiedy Kacper przeczyta samodzielnie pierwszą książkę. Ale niestety, chłopiec długo nie mógł się nauczyć czytać i zapamiętać tych tajemniczych, czarnych znaczków goniących niesfornie po papierze. Kacprowi ciągle się wszystko myliło



i często czytał wyrazy na odwrót. Wychodziły z tego dziwolągi, takie jak „kajba” zamiast „bajka” czy „tok” zamiast „kot”.

Ojciec prosił synka, by był bardziej uważny w czytaniu, ale ten tylko się denerwował i zrzucał rozzłoszczony książkę na podłogę, bo wiedział, że bardzo się stara, jednak nic mu się nie udaje. Król, który tak kochał książki, bardzo nad tym rozpaczał. Nie wiedział już, co ma robić, żeby Kacper polubił czytanie. Król wzywał rozmaitych specjalistów, szukał porad w swoich księgach, ale nic z tego nie wychodziło. Kacper, coraz bardziej zniechęcony, nie sięgał już w ogóle po książki, a jego nauczyciele narzekali, że chłopiec nie chce nawet czytać krótkich informacji w podręcznikach.

Królewicz miał coraz większe trudności z nauką, a wieść o kłopotach najmłodszego syna króla docierała powoli do poddanych. Cała sytuacja denerwowała też małego królewicza, bo przecież wiedział, że to właśnie dzięki książkom jego ojciec jest tak mądrym i szanowanym władcą. Gdy o tym myślał, wpadał w jeszcze większą złość. Chciał o tym z kimś porozmawiać, ale się wstydził. Było mu z tego powodu bardzo źle.



Aż pewnego razu w książkowym królestwie zjawił się nowy nauczyciel, który miał uczyć małego królewicza, bo wszyscy poprzedni odeszli z królewskiego zamku, nie mogąc sprostać trudnościom, które sprawiał Kacper.

Chłopiec jak zwykle szedł niechętnie na lekcję, zasiadł do lekcji niezadowolony i naburmuszony, bo wiedział, że znowu będzie musiał przeczytać na głos fragment jakiejś książki i nie zadowoli nauczyciela. Zawsze, gdy miał coś przeczytać na lekcji, chciało mu się płakać, a jego przerażenie nie znało granic.

„Co robić, jak uniknąć czytania?” – myślał chłopiec.

Nauczyciel zobaczył przerażoną minę Kacpra i już wiedział, co mu dolega. Postanowił pomóc chłopcu, proponując pewną zabawę. Zaczął ją od pytania o to, co chłopiec chciałby robić w przyszłości. Królewicz odpowiedział, że marzą mu się podróże po całym świecie, bo dużo o nich słyszał od ojca, który dawno temu czytał mu o różnych wspaniałych krajach i cudownych podróżach.

– Najpierw chciałbym pojechać do Egiptu, bo tam kryje się tajemnica faraonów, o których czytał mi ojciec – odparł królewicz.

Nauczyciel ucieszył się i z wielkiej, pełnej tajemnic biblioteki króla wyciągnął jeden z grubych tomów. Chłopiec popatrzył na okładkę, która wydała mu się znajoma, ale znowu nie mógł przeczytać tytułu.

– Egitp... – przeczytał chłopiec, ale w obawie przed naganą nauczyciela szybko się poprawił.

– Egipt! – wykrzyknął ucieszony.

Nauczyciel dostrzegł wcześniejszy strach chłopca i powiedział, że nic się nie stało. Królewicz nie od razu prawidłowo odczytał tytuł, bo to trudny wyraz. Dlatego, że kończy się dziwnie na dwie spółgłoski „-pt”.

– Takie wyrazy są trudne do przeczytania dla dyslektyka – powiedział nauczyciel.



– Dla kogo, dys... kogo? – zapytał Kacper, nie umiejąc nawet powtórzyć słowa, które wypowiedział przed chwilą mężczyzna.

– Dyslektyka – powtórzył nauczyciel. – To ktoś, kto może mieć trudności z nauczeniem się szybkiego czytania albo robi różne błędy przy składaniu liter, pisaniu itp. Dlatego nie lubi czytać, bo sprawia mu to dużo trudności.

Kacper zrozumiał, że właśnie on też jest dyslektykiem. I bardzo posmutniał. Nauczyciel to zauważył i wytłumaczył chłopcu, że to nie jego wina i że nie musi się tego wstydzić przed nauczycielami, rodzicami czy innymi dziećmi. One też czasami mają podobny problem, tylko nawet o tym nie muszą wiedzieć. Nauczyciel dodał, że Kacper musi tylko trochę więcej czasu spędzać na różnych ćwiczeniach.

– Ale to może być fajna zabawa – dodał nauczyciel. – Jeśli chcesz, będziemy się bawić razem? – zaproponował.

– Pewnie – ucieszył się Kacper, chociaż nie wyobrażał sobie, jak czytanie może być fajną zabawą.

Nauczyciel wymyślił pierwszą zagadkę: uczeń i nauczyciel przypominali sobie wyrazy związane z Egiptem, faraonami i sta-

rożytnością, zapisywali je i odczytywali na głos. Okazało się, że Kacper doskonale pamięta opowieści czytane wieczorami przez tatę króla i dzięki temu wygrał zawody. Nauczyciel wcale nie był z tego powodu zły. Zaproponował, żeby na następną lekcję Kacper przygotował swoją zabawę z książką. Królewicz był zachwycony. Po raz pierwszy od dawna wracał do swojej komnaty po lekcjach, wesoło podskakując i podśpiewując. Szybko znalazł na półce ciekawą książkę i zaczął ją przeglądać, by znaleźć pomysł na jutrzejszą zabawę. Gdy już ją wymyślił, pobiegł do ojca pochwalić się swoim pomysłem.

Król był bardzo dumny ze swego syna i kiedy na drugi dzień zobaczył Kacpra szybko i z uśmiechem krocącego na lekcje, już wiedział, że teraz może być spokojny o syna, który wnet dołączy do miłośników książek. Tak też się stało.

Po wielu latach chłopiec dorósł i został władcą książkowego królestwa. Tak jak kiedyś ojciec, teraz on sięgał do książek, szukając w nich rad, by mądrze i sprawiedliwie sprawować rządy. A jego doradcą został mądry nauczyciel, który dawno, dawno temu nauczył go kochać książki.

Lidia Ippoldt



Kedulonsark

– leworęczny krasnoludek

(dla dzieci z trudnościami w nauce)

Pośród cichych skałek, porośniętych pachnącymi ziółkami, mieszkała krasnoludkowa rodzina. Najmłodszy krasnoludek miał prawie 8 lat. Lubił się huścić na rumiankach, zjeżdżać w dół po pokrytej rosą trawie, turlać się pośród stokrotek i zdmuchiwać przekwitłym mleczom białe puchowe czapeczki.

Wzruszał się, kiedy uratował życie motylkowi, który wpadł do wody i zmoczył skrzydełka. Długo pilnował go potem na słońcu, przesadzał z kwiatka na kwiatek, aby mógł się napić nektaru dla wzmocnienia sił. Jesienią krasnoludek przyniósł do domu zaskoczoną przez pierwsze przymrozki, zmarzniętą biedronkę. Położył ją na kawałku skórki od jabłka i zaniósł do kwiatka w donicze, aby przetrwała zimowy sen. Wcześniej policzył jej kropki i zastanawiał się, czy na wiosnę będzie miała o jedną więcej.



Krasnoludek lubił też czasem być sam, tak po prostu – żeby mu nikt nie przeszkadzał. Chodził sobie wtedy, śpiewał, przemawiał do swoich przytulaneek wielkości ziarenka piasku.

– Zawsze chodzisz swoimi ścieżkami. Jak kotek – mówiła wtedy mama.

– Miau! – odpowiadał krasnoludek i zaczynał słodko mruczeć, tak właśnie jak kot, gdy jest zadowolony z drapania za uchem. Zaraz potem oddalał się tajemniczym kocim krokiem.

Krasnoludek nie lubił ciemności, chodzenia spać i wstawania rano. Niechętnie też składał ubranka.

Uwielbiał za to malować farbami, wycinać i rysować. Kochał spacerować, w trakcie których śpiewał pioseneczki-zmyślaneczki.

Płakał, kiedy się mocno potłukł, śmiał się, kiedy mama łąskotała go pod paszkami lub delikatnie masowała po plecach. W wietrzne dni puszczał z tatą latawce. Wieczorem, przejęty, słuchał, jak gra na gitarze, a nocą bawili się „w śnie” albo w „słuchanie ciszy”, która – o czym nie każdy wie – nigdy właściwie nie jest zupełnie cicha. W zasadzie był więc najzwyczajnym małym krasnalkiem. Pewnego razu wyciął karteczkę w kształcie chmurki. Napisał na niej:

EZRUMHCJETANAŃSEJOMAINEZRAM.

Chmurkę pokolorował najstaranniej, jak potrafił. Na zielono. Chociaż inne krasnoludki mówiły, że najpiękniejszy na świecie jest kolor różowy lub że chmurki są białe albo niebieskie, krasnoludek miał swoje zdanie na ten temat i dziwił się, jak można sądzić inaczej. Taki prezent dał mamie z okazji Dnia Mamy. Był bardzo z siebie dumny, tym bardziej że ciocia pomogła mu jeszcze zrobić duże serce z kruchego wafła, polewane słodkim mlekiem z puszek. Mamie prezent bardzo się podobał. Z łatwością też przeczytała napis na zielonym obłoczku:

MARZENIA MOJE SĄ NA TEJ CHMURZE.





Mama dobrze znała synka: jego radości, zmartwienia i marzenia. Radością małego krasnoludka było to, że zrobił prezent, który uważał za bardzo udany. Zmartwieniem było to, że **nie był tak sam jak inne krasnoludki, które znał!!!**

Najpiękniejszy na świecie był dla niego kolor zielony. Gdy bardzo kogoś lubił lub gdy się z czegoś bardzo cieszył, mówił z zachwytem:

„Zielony!”

Na balu przebierańców nie chciał być też rycerzem, czy choćby policjantem, albo przynajmniej strażakiem, ale... NIETOPE-RZEM.

– Będę miał takie skrzydła i latał, latał nad krasnoludkami...

Na proste pytania odpowiadał całymi historyjkami, które miały miejsce tylko w jego – jak mówił – „wyobraźalni”.

Rodzina krasnoludka znała te jego upodobania, więc czasem pytała tylko dla pewności:

– Ale to było naprawdę czy w „wyobraźalni”?

– Naprawdę. W mojej Afryce – odpowiadał niezrażony niczym krasnoludek i kontynuował swoją opowieść z takim przekonaniem, jakby przed chwilą się wydarzyła.

– Ale zmyśla – komentowała i porozumiewawczo puszczała oczko do rodziców starsza siostrzyczka krasnoludka.

Ale ze wszystkich smutków krasnoludka największy był ten, że **pisał lewą ręką**. Ciągle miał z tego powodu kłopoty. Wszyscy mu powtarzali:

– Nie od tej strony się pisze!

– Z drugiej strony się pisze!

A on przecież, gdy brał długopis do ręki, najpierw długo się zastanawiał:

– Aha, od której strony się pisze? Aha, na pewno od tej...

I podpisywał rysunek: **KEDULONSARK.**



Marzeniem małego krasnoludka było to, żeby mama i tatuś byli szczęśliwi i uśmiechnięci. I właśnie tak się działo! Rodzice dobrze wiedzieli, że nie ma dwóch takich samych krasnoludków na świecie i każdy z nich czymś się trochę różni.

Właśnie dlatego krasnoludki są tak piękne, dlatego świat nie jest nudny!

– Jakie to wspaniałe, że się różnimy! Co by było, gdyby wszystkie motyle miały taki sam kolor skrzydełek albo biedronki zawsze tyle samo kropek? – mówiła czasem mama, z zachwytem patrząc na odmienny kolor włosów i oczu swoich pociech.

Jednym rośnie długi nos, innym odstające uszy. Jedni mają piękny uśmiech, inni piękne oczy. Niektóre krasnoludki są szybkie, inne powolne i długo rano naciągają czerwone rajtuzy. Niektóre są zawsze uśmiechnięte, inne chodzą pochmurne, bo przecież na świecie jest tyle powodów do smutków.

Są też takie krasnoludki, które prawa ręka słucha bardziej niż lewa, i takie, które lewa ręka bardziej słucha niż prawa. Dlatego zębki myją **rączką lewą**, włoski czeszą **rączką lewą**, pałeczkę od cymbałków trzymają **rączką lewą**, wieżę z klocków budują **rączką lewą**, kleją, wycinają, obracają kartki w książeczce **rączką lewą** i wszystko – absolutnie wszystko – wolą robić **rączką lewą**. No, chyba że mogą coś zrobić **lewą nóżką** – to też może być.

Dziwią się tylko czasami, że gitara taty ma odwrócony gryf ze strunami albo że łyżkę w restauracji kelner podał im nie po tej stronie, co trzeba.

I chociaż niektóre krasnoludki piszą lewą ręką i na razie „nie od tej strony, co należy”, to na pewno kiedyś będą się podpisywać:

KRASNOLUDEK.

Mama popatrzyła na zieloną chmurkę z napisem

EZRUMHCJETANAŞEJOMAINEZRAM.

Uśmiechnęła się do krasnoludka i z radością podrzuciła go kilka razy. Potem zrobiła z nim pocałunek Eskimosów:

– „Noski – noski – Eskimoski” – powtarzała rytmicznie, pocierając swoim nosem nosek krasnoludka. Na koniec przybiła piątkę **lewą ręką**. Wtedy krasnoludek zarzucił jej rączki na szyję i wyszeptał do ucha:

– Kocham cię, mamusiu.

Anna Monika Kowalik



Kłopoty biedronki Mai

(dla dzieci smutnych z powodu niepowodzenia w szkole)

*W*czesnym popołudniem biedronka Maja wracała ze szkoły. Była w wyjątkowo złym humorze. Nie powiedziała nawet „dzień dobry” panu chrabąszczowi, który właśnie ją mijał. Nie zauważyła też, że mama posadziła jej ulubione stokrotki w ogródku.

Wchodząc do domu, trzasnęła głośno drzwiami, pobiegła szybko do swojego pokoju, nie ściągając butów, i rzuciła tornister pod nogi. Była zmęczona, zła i chciało jej się płakać. W szkole od samego rana szło wszystko nie tak. Dostała jedynkę z matematyki, bo nie nauczyła się dodawać. Pokłóciła się z mrówką Kasią. Zapomniała książki do przyrody i kredek na plastykę. Może to dlatego, że do szkoły pakowała się dopiero rano, w wielkim pośpiechu, chociaż tata wieczorem ją pytał, czy wszystko schowała do tornistra. A do tego, do późna oglądała bajki, bo twierdziła, że jej się nie chce jeszcze spać. Rano wstała niewyspana.



– Jak to wszystko teraz powiedzieć mamie? – zastanawiała się Maja.

Żeby to przemyśleć, wyszła przed dom. Pogoda była piękna. Wiosenne słońce mocno już grzało. Dookoła kwitły różnokolorowe kwiatki, nad którymi fruwały pszczołki zbierające pierwszy kwiatowy nektar. Wiaterek lekko poruszał zielone listki drzew. Ptaszki śpiewały swoje trele, a w pobliskim stawie żabki cicho rechotały.

Maja poszła na tył ogrodu, gdzie rósł wielki, rozłożysty dąb. Zobaczyła na nim pięknego, zielono-żółtego motylka, który usiadł na jednej z gałązek. Biedroneczka postanowiła poobserwować motylka.



Położyła się na miękkiej trawie i patrzyła ciekawie w górę. Wiosenne słońce mocno ogrzewało jej pyszczek, więc zamknęła oczka i głęboko wciągnęła powietrze. Wraz z nim doleciał do niej zapach wiosennej trawy.

Leżała bardzo wygodnie i odpoczywała po swoim ciężkim dniu w szkole. Zaczęła oddychać miarowo i spokojnie, co bardzo ją odprężyło. Wiaterek lekko zaszumiał w liściach dębu, a później przeleciał wzdłuż ciała Mai i poleciał sobie gdzieś daleko. Biedronka poczuła, że wraz z nim odleciało jej całe zmęczenie i niezadowolenie. Spokojna i wypoczęta, Maja zrobiła się senna. Wyciągnęła rączki do promyków słońca i patrzyła, jak jego promienie przeciekają przez jej palce. Zabawa tak ją pochłonęła, że nawet nie poczuła, iż się uśmiecha.

– Ach, jak nadejdą wakacje, będę tu odpoczywała każdego popołudnia – postanowiła zdziwiona, że dopiero teraz odkryła to cudowne, spokojne miejsce w swoim ogrodzie.

Piękna ptasia melodia koła uszy biedronki.

Nagle lekki wietrzyk powrócił i strącił z drzewa zabłąkaną od rana kroplę rosy, której słońce nie zdążyło jeszcze wysuszyć. Kropelka spadła na nosek Mai. Rozbudzona nagle biedronka podniosła się powoli. Przeciągnęła się w słońcu, wciągając czyste, rześkie powietrze.

„Wszystko będzie dobrze” – pomyślała Maja. „Jutro poprawię jedynekę z matematyki i przeproszę mrówkę Kasię. Do szkoły pakować się będę wieczorem, aby więcej już niczego nie zapomnieć, i chodzić spać zaraz po dobranocce. A teraz pójdę do domu i wszystko opowiem mamie. I wiem, że mnie zrozumie...”

Z takimi postanowieniami mała biedronka Maja pobiegła wesoła do domu, a w drodze towarzyszył jej kolorowy motylek.

Agnieszka Pospuła



Jędrus – internauta

(dla dzieci spędzających zbyt dużo czasu w Internecie)

W niewielkim miasteczku w wysokiej, trzypiętrowej kamienicy mieszkał wraz z rodzicami, starszym bratem i babcią dziesięcioletni Jędrus. Był bardzo miłym chłopcem, kochanym przez całą rodzinę i lubianym przez wszystkich na podwórku i w szkole. Bardzo chętnie grał w piłkę, starał się być dobrym bramkarzem i koledzy lubili, gdy uczestniczył w ich rozgrywkach piłkarskich. Jędrus lubił też chodzić ze starszym bratem na basen, jeździć z tatą na narty, ale najbardziej chodzić z mamą na działkę. Na to wszystko Jędrus znajdował czas, mimo że miał dużo nauki. A trzeba dodać, że chłopiec uczył się bardzo dobrze, cała rodzina bardzo się z tego cieszyła, a i on wydawał się zadowolony.

Ale, niestety, w nowym roku szkolnym, kiedy znalazł się w IV klasie, coś bardzo odmieniło Jędrusia. Zaczął spędzać coraz więcej czasu buszując po Internecie, a mniej z kolegami grającymi w piłkę, gdy proponowali mu pozostanie na boisku. Zdarzało się, że chłopiec nie chciał chodzić z bratem na basen, a nawet z mamą na ulubioną działkę.



Gdy nadeszła zima, Jędrus wracał zaraz po szkole do domu i od razu zasiadał do komputera. Nawet w sobotę i niedzielę nie dał się „oderwać” od Internetu, mimo że tata proponował synkowi wspaniałą wyprawę na narty, a całkiem niedaleko jego domu otwarto nową krytą pływalnię, ze zjeżdżalnią i basenem z podgrzewaną wodą.



Niestety, Jędrus zaczął mieć też kłopoty w szkole. Coraz częściej zdarzało mu się zapomnieć o zadanym zadaniu, dostawał dużo słabsze oceny. Wszyscy bardzo się martwili zmianą Jędrusia, ale chłopiec wcale się tym nie przejmował.

Pewnego dnia Jędrus jak zwykle rano wyruszył do szkoły. Był wyjątkowo niewyspany i zmęczony, bo wieczorem do późna surfował w Internecie, a w nocy śniły się mu jakieś koszmarnie postacie, które wcześniej tam oglądał. Po drodze spotkał przyjaciela Macia, który zaproponował wyścig.

– Kto pierwszy w szkole, ten może zjeść podwójny deser w stołówce – ogłosił Maciek.

Jędrus nawet się ucieszył z propozycji kolegi, bo wiedział, że jest bardzo dobrym biegaczem i z łatwością pokona przyjaciela, a uwielbiał stołówekowe desery. Tymczasem już po pięćdziesięciu metrach ze zdziwieniem poczuł, że słabnie i traci siły. Wiedział, że to Maciek zje dzisiaj jego deser w stołówce.

„Cóż, wygram następnym razem” – pomyślał Jędrus.

Chłopcy weszli do klasy uśmiechnięci, chociaż Jędrusowi psuła humor myśl o przegranych zawodach. Pierwszą lekcją była matematyka, którą chłopiec bardzo lubił. Pani wyrwała go do odpowiedzi i wtedy okazało się, że Jędrus znów zapomniał o zadaniu domowym, a także że nie potrafi rozwiązać prostego działania. Dostał więc dwie jedynki na jednej lekcji.

„Jak ja o tym powiem rodzicom?” – przeraził się Jędrus.

Na wszystkich pozostałych lekcjach cały czas o tym myślał. Na ostatniej godzinie był wf. Chłopiec ucieszył się, gdy nauczyciel zaproponował wszystkim grę w piłkę, bo pomyślał, że jakoś go ona odpręży, a on chociaż na chwilę przestanie myśleć o swoim kłopotcie.

Niestety, okazało się, że Jędrus, który stał na bramce, był zbyt ospały i przepuścił trzy gole. Chłopcy mieli do niego ogromne



pretensje i powiedzieli, że jest niezdarą i nie chcą go już w piłkarskiej drużynie.

Jędrzek wrócił do domu zły. Rodzice od razu domyślili się, że coś się w szkole wydarzyło. Zapytany o to syn musiał się przyznać do niepowodzenia na matematyce, a później z płaczem opowiedział tacie o wydarzeniach na meczu i przegranym wyścigu z Maćkiem.

Rodzice bardzo posmutnieli i postanowili porozmawiać z Jędrkiem poważnie. Spokojnie próbowali wytłumaczyć synkowi, skąd się biorą jego ostatnie niepowodzenia zarówno w nauce, jak i w sporcie.

– Zbyt długo siedzisz przy komputerze i masz za mało ruchu na świeżym powietrzu – powiedziała mama.

– Internet może pomóc w nauce, ale trzeba wiedzieć, jak z niego korzystać – dodał tata.

Jędrzek już wcześniej słyszał to od rodziców, ale nigdy nie przejmował się ich słowami. Tym razem jednak zastanowił się chwilę nad tym i pomyślał, że może rzeczywiście rodzice mają rację. Ostatnio nic się dla chłopca nie liczyło – nauka, mecze z kolegami, basen, narty. Jedynym i najważniejszym dla niego zajęciem było surfowanie po Internecie.

„Może rzeczywiście przez to dostaję złe oceny w szkole?” – zastanawiał się Jędrzek. „Gorzej, że nie dorównuję chłopakom i wychodzę na słabeusza. Za chwilę już nikt nie będzie chciał się ze mną wyścigować, a chłopcy znowu nie wezmą mnie do drużyny piłkarskiej. Niedługo rozgrywki międzyklasowe, a tu kłapa, nikt mi przecież nie zaproponuje gry na bramce” – przestraszył się.

Postanowił, że musi coś z tym zrobić. Poszedł do swojego pokoju smutny i zadumany. Nawet nie otworzył komputera, tylko usiadł przed nim naburmuszony i zaczął się zastanawiać, co może na to wszystko poradzić. Wreszcie wieczorem przed kolacją przyszedł do taty na poważną rozmowę. Zapytał go, czy



mógłby mu pomóc odzyskać formę i od czego trzeba zacząć. Uradowany tata zaproponował synowi, że od jutra codziennie po obiedzie będą wspólnie biegać po pobliskim parku.

Następnego dnia rzeczywiście zaraz po obiedzie tata zabrał syna na obiecany trening. I tak było teraz codziennie. Wspólnie biegali coraz dalej i dłużej. Jędrrek wracał z parku zadowolony i z coraz większą energią. Zasiadał szybko i chętnie do lekcji i zauważył, że odrabia je szybciej i łatwiej zapamiętuje wszystko, czego powinien się nauczyć. W szkole znowu zaczął dostawać lepsze stopnie, a ostatnio znów wygrał z Maćkiem wyścig o deser.

Jędrrek wracał ze szkoły bardzo zadowolony, z radością myśląc o kolejnym treningu z tatą. Gdy nastła wiosna, po raz pierwszy od wielu miesięcy odwiedził tak lubianą wcześniej działkę i patrzył na nią z zachwytem. Postanowił z tatą, że teraz będą na nią jeździć na rowerach. Jędrrek już cieszył się na pierwszą przejażdżkę na swoim nowym rowerze, który dostał od rodziców za ostatnie sukcesy w nauce. Wieczorem chłopiec, po całym pracowitym i atrakcyjnym dniu, zasiadał do Internetu, by znaleźć w nim ciekawą trasę na kolejną wyprawę z tatą lub najnowsze wyniki sportowe swoich ulubionych klubów piłkarskich. Teraz czas spędzany po szkole był dużo ciekawszy i płynął tak szybko, że chłopiec nawet się nie zorientował, kiedy nadszedł koniec roku i z dumą mógł pokazać rodzicom świadectwo z czerwonym paskiem, a przed chłopakami pochwalić się nową, skórzaną piłką, którą dostał od rodziców w nagrodę za wspaniałe stopnie na świadectwie. Jędrrek znów był świetnym bramkarzem i z prędkością strzały bronił bramki drużyny.

Lidia Ippoldt



Smak wspólnego zwycięstwa

(dla dzieci źle znoszących porażki)

*K*iedy Piorun wypadł z zakrętu, wiatr silniej uderzył go w nos. Powietrze wydawało się zamrożone, a może to on przestawał swobodnie oddychać... Kątem oka kontrolował doganiający ich zaprzęg, starając się przyspieszyć. Czuł zresztą, że biegnący jako pierwszy Wicher jeszcze bardziej wysunął głowę do przodu i ciął powietrze jak błyskawica. Wzniecane tumany śniegu, niczym drobne igiełki, wbijały się w sierść, dopingując do jeszcze szybszego biegu. Piorun wiedział, że meta musi być już blisko, skoro Wicher nadał takie tempo. Dzwonki sań nawoływały coraz donośniej, by biec po zwycięstwo. Jeszcze tylko jedno spojrzenie w bok, czy nikt nie zaatakuje na ostatniej prostej. Tym razem przeciwnik musiał schować się za nimi, nie dał rady. Jeszcze tylko dwa metry, metr, jeszcze kawałek... są pierwsi!!!

Najprzyjemniejszym momentem po wyścigu zaprzęgów była zawsze wspólna przekąska i przyjacielskie poklepanie po grzbie-



cie. Piorun zawsze czekał na chwilę, gdy mógł spojrzeć swymi przenikliwymi, stalowymi oczami w kształcie migdała prosto w oczy powożącego saniami i wzajemnie, choć bez słów, pogratulować sobie. Kiedy maszer podszedł do Wichra, Piorun zobaczył coś, co go zaniepokoiło. Na łapie przyjaciela widniało małe skaleczenie. Wicher najwyraźniej chciał je ukryć. Widać było jednak, że każdy krok na zranionej łapie sprawiał mu ból, ponieważ lekki dreszcz wstrząsał jego futrem, ilekroć próbował się posuwać naprzód.

– Pokaż, piesku, co ci się stało? – maszer powożący saniami chciał obejrzeć łapę podopiecznego, ale ten, liżąc go po ręce, usiłował odwrócić jego uwagę.

„Jak to się mogło stać?...” – zastanawiał się maszer, nie dając się zwieść sztuczkom psa i oglądając łapę.

„Trzeba będzie wezwać weterynarza. Przed nami jeszcze jedne zawody w tym sezonie” – zdecydował.



Na dźwięk słowa weterynarz na pyszczku Wichra pojawiły się oznaki strachu. Czyżby sam czuł, że z jego łapą nie jest dobrze?

Tej nocy żaden z psów nie spał spokojnie, Piorun także.

– Przyznaj się, kiedy się skaleczyłeś? – zapytał przyjaciela.

Wicher, schowawszy nos pomiędzy łapy i udając, że śpi, nie odpowiadał.

– Nie udawaj! Wszyscy widzieliśmy twoją łapę. Martwimy się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Do następnych zawodów wrócę do formy. Zresztą dzisiaj też wygraliśmy, więc się nie bójcie. Nie przegracie przeze mnie – odezwał się kąśliwie.

– Co ty mówisz? W ogóle nie o to nam chodzi – zapewnił Błysk, który biegł w ostatniej parze, bo dopiero zaczynał przygodę z wyścigami. – Przed dzisiejszym startem wszystko było w porządku.

– To się stało dzisiaj, kiedy przyspieszyłem na ostatniej prostej – wyznał Wicher. – Wbiegłem rozpędzony na ukrytą pod śniegiem ostrą bryłę lodu i rozbiłem ją. Jeden odłamek musiał mnie skaleczyć. To tyle. Zadowoleni?

Wśród psów zapanowała cisza. Wicher był ich liderem. Biegł zawsze sam na przodzie, bo był najszybszy, inteligentny i najbardziej waleczny. Potrafił w każdej sytuacji wykrzesać z siebie samego i z reszty zaprzęgu tyle siły, ile było trzeba, żeby nie dać się wyprzedzić.

Nazajutrz maszer sprowadził weterynarza. Jego decyzja brzmiała dla wszystkich i dla samego Wichra jak wyrok.

– Łapa się wygoi, ale w tym sezonie radziłbym poszukać innego psa jako przodownika. Nadmierne obciążenie łapy może wykluczyć psa na stałe z biegów i spowodować niepotrzebne cierpienie. Jeśli jego stan nie będzie się pogarszać, może biegać, ale na pewno nie jako pierwszy. Tyle dziś mogę powiedzieć...

– urwał weterynarz, domyślając się, że takiej diagnozy nikt nie chciał tu słyszeć.



– Spróbuję przygotować innego psa, ale nie wiem, czy zdążę. Następne zawody są za tydzień...

– Którego wybierzesz? – zapytał weterynarz.

– Jeszcze nie wiem... – zamyślił się maszer, ale popatrzył ostrożnie w stronę Pioruna. – Może jego? Dotąd biegł jako drugi, jest młody, silny, zdolny, ma charakter i szybko się uczy.

Piorun utkwiał wiernie swoje niebieskie oczy w zmartwione oczy właściciela. Czuł, że zastąpienie Wichra nie będzie proste. Wicher miał, oprócz ogromnej wytrzymałości, charakter zwycięzcy.

Już na najbliższym treningu Piorun zajął miejsce Wichra. Teraz to on był liderem drużyny. Kiedy tylko usłyszał sygnał startu, ruszył czym prędzej, czując pokładane w sobie nadzieje i mobilizację wszystkich psów. Wiatr dał w uszach, a bicie serca prawie zagłuszało dźwięk przymocowanych do sań dzwonek. Piorun ofiarnie pokonywał kolejne metry zaśnieżonej, krętej trasy, czując, że nie może zawieść. I tak na każdym treningu.

Po upływie kilku dni, kiedy łapa Wichra nieco się podgoiła, dołączył do zaprzęgu, ale jako jeden z ostatnich psów. I tym razem Piorun dawał z siebie wszystko. Pędził czym prędzej, ale co to? Raz po raz czuł, że biegnący za nim przyjaciele depczą mu po łapach, jakby chcieli go wyprzedzić! Ojej! Zaraz go przewrócą!

– Co się dzieje?! – odwrócił ostrożnie głowę w bok, nie przestając biec. – Stratujecie mnie!

– To Wicher tak przyspiesza! – wysapał biegnący za nim Granat. – Zaraz chyba się uduszę! Nie mogę złapać tchu!

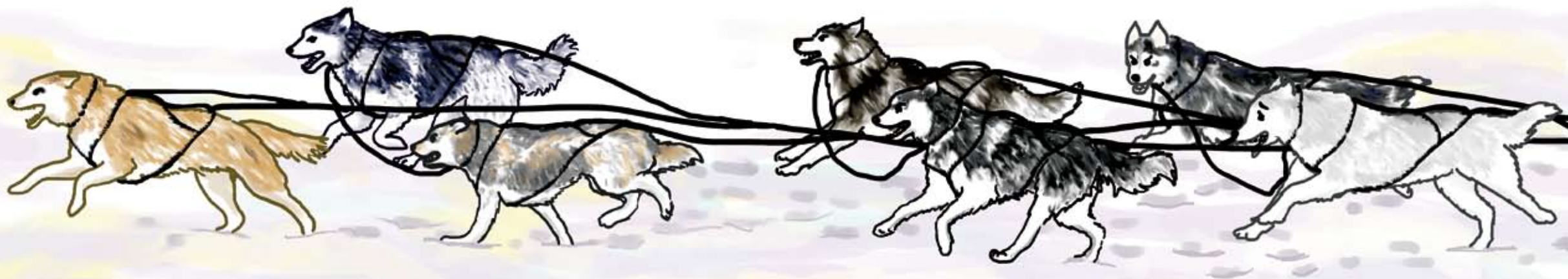
Rzeczywiście, Wicher biegł tak szybko, jak by chciał wszystkim udowodnić, że z jego łapą nic się nie stało i że odebranie mu funkcji kapitana psiego zaprzęgu było błędem...

– Co ty wyprawiałeś dzisiaj na treningu?! – zapytał zaskoczony Piorun po zakończeniu biegu. – Chciałeś nas wszystkich zadeptać?!

– Ledwie mogłem za wami nadążyć – skarżył się Błysk, który biegł ostatni. – Myślałem, że przez ciebie stracę głowę! Nie wiesz, że w zaprzęgu każdy ma swoje miejsce i że nie możesz biec szybciej, niż ci, którzy są przed tobą, bo wszystkich nas narażasz?

Wicher stał milcząco i patrzył wprost przed siebie, próbując ukryć pulsującą z bólu łapę.

– Nikt nie biega szybciej ode mnie! – zawył nagle. – A to, że nie biegłem pierwszy, to tylko przez nieszczęśliwy przypadek, i dobrze o tym wiecie. Świetnie znam swoje miejsce. Jestem przecież liderem! Nie obraż się, Piorun, ale to ja wystartuję jako przodownik na ostatnich zawodach w tym sezonie. Udowodniłem to naszemu opiekunowi. Słyszałem, jak dziś po tym, co po-



kazałem, mówił, że to jednak mnie wystawi jako kapitana, skoro jestem w takiej doskonałej formie.

Wszyscy popatrzyli na niego zdziwieni. Wicher oddalił się urażony i pewny siebie. Widać było, że utyka z powodu chorej łapy. Kiedy jednak odwrócił głowę i zobaczył wpatrzony w siebie zdumione, a zarazem przerażone spojrzenia kompanów, zebrał się w sobie i, nie dając po sobie poznać bólu, przyspieszył pewnym krokiem.

– On chyba żartuje – próbował ustalić Granat. – Postawił na dzisiejszym treningu wszystko na jedną kartę, żeby znowu być liderem, ale widać, że bardzo nadwerżył łapę. Czy myślisz, że nie widzimy, z jakim trudem teraz odchodzi?

Piorun niepokoił się o przyjaciela. Znał go od dawna i wiedział, że Wicher jest bardzo uparty, a do tego nie lubi i nie umie przegrywać. Zrozumiał, że Wicher udaje przed maszerem i przed weterynarzem, że wrócił do pełni formy. Nie wiadomo jednak,



co może się stać, jeśli wystartuje na samym przodzie podczas ostatniego wyścigu...

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany dzień zawodów. O laur zwycięstwa w całym sezonie ubiegało się sześć psich zaprzęgów. Mroźna, bezwietrzna pogoda wzmagała jeszcze chęć walki. Emocje czuło się w powietrzu. Kiedy wszystkie zgłoszone drużyny stanęły obok siebie na linii startu, napięcie sięgnęło zenitu. Start! Ruszyli! Wicher od razu pociągnął pozostałych, tak że prawie uniosło ich w powietrze. Jak strzała przedarł się pomiędzy dwoma najsilniejszymi zaprzęgami i zapewnił przyjaciółom prowadzenie. Biegł równo, kontrolując ostrożnie, czy przeciwnicy nie wyłaniają się gdzieś z boku, by zająć im drogę i pozbawić wygranej.

W końcu, po wyczerpującym biegu, pozostała już tylko ostatnia prosta! Piorun poczuł nagle dziwny niepokój w sercu. Spojrzał w bok i zobaczył Wulkana, kapitana rywalizującej z nimi od lat drużyny. Dwa lata temu odebrali im zwycięstwo w ostatniej chwili. Teraz, jakby uskrzydleni, doganiali ich, zrównując się z nimi na wysokości sań. Wicher nie mógł tego nie zauważyć. Niemal w tej samej chwili Piorun poczuł silne szarpnięcie do przodu. Wicher przyspieszył..., po czym padł na śnieg, skowycząc z bólu. Rozpędzony zaprzęg usiłował się zatrzymać, ale prędkość, z jaką biegł, była zbyt duża, by mógł uczynić to nagle. Piorun, nie chcąc wpaść na obolałego przyjaciela, odskoczył w bok z taką siłą, że zerwał wiążące zawodników rzemyki, po czym wylądował w zaspie śniegu i przestał cokolwiek widzieć i słyszeć...

Kiedy się ocknął, ujrzał tuż nad głową wpatrzony w siebie spojrzenia maszera i wszystkich przyjaciół z zaprzęgu. Głowa bardzo go bolała. Ostrożnie dotknął jej łapą i poczuł, że ma założoną przepaskę z bandaża.

– Odpoczywaj, piesku – przemówił do niego czule człowiek i delikatnie podrapał za uszami. – Wszystko będzie dobrze.



Kiedy zostali sami w swoim psim towarzystwie, Piorun zaczął sobie powoli przypominać, co stało się podczas wyścigu.

– Gdzie jest Wicher? – zapytał milczących kolegów.

– Nie najlepiej z nim – odparł Błysk. – Miał operację łapy. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś będzie z nami biegał.

– Istnieje obawa, że będzie już zawsze utykał... – dodał Granat.

Piorun zmrużył oczy. Wszyscy chcieli wygrać, ale dlaczego Wicher musi być pierwszy nawet wtedy, gdy czuje, że nie da rady? Dlaczego nie wycofał się z rywalizacji, żeby ocalić zdrowie? Czy bycie pierwszym było dla niego najważniejsze? Ważniejsze nawet od bezpieczeństwa jego samego, biegnących z nim przyjaciół i człowieka, wobec którego powinni być lojalni? Na te pytania Piorun znajdował tylko smutne odpowiedzi...

Tego roku zaprzęg Pioruna nie zajął pierwszego miejsca. Psy nie ukończyły bowiem ostatniego biegu. Kolejnej zimy, gdy tylko spadł śnieg, Piorun, Granat, Błysk oraz pozostali przyjaciele rozpoczęli przygotowania do następnej, długiej i niełatwej drogi po zwycięstwo. Ściganie się było przecież ich pasją! Dawało im radość i wolność, ponieważ podczas wyścigu to oni decydowali o losie człowieka. Przecinając zmrożone powietrze niczym błyskawice i przemierzając ośnieżone, leśne ścieżki, nie przestawali jednak myśleć o swoim przyjacielu i kapitanie, którego bardzo im brakowało. Bali się nawet zastanawiać, czy jeszcze kiedyś do nich wróci.

Aż niespodziewanie któregoś dnia, kiedy zmęczeni wrócili do swojej zagrody, ujrzeli czekającego tam na nich Wichra. Nie było już widać żadnego śladu po kontuzji łapy, ale błysk w jego spojrzeniu wydawał się jakby łagodniejszy niż kiedyś. Przyjaciele otoczyli go szybko, zasypując pełnymi troski pytaniami: skąd się tu wziął?, czy na pewno już wszystko w porządku z jego łapą i kiedy zacznie znowu z nimi biegać...?



– Pewnie już wkrótce. Cieszę się, że jestem tu z wami – dodał po chwili. – I że tak entuzjastycznie mnie przyjęliście po tym, jak się zachowałem podczas ostatniego wyścigu.

Piorun położył mu pojednawczo łapę na grzbiecie. Najważniejsze dla wszystkich wydawało się to, że drużyna znowu była w komplecie.

– Będziesz dobrym liderem, Piorun – odezwał się nagle Wicher, patrząc mu ufnie w oczy.

Przyjaciół spojrzeli na niego zaskoczony, a wśród psów zapanała zupełna cisza.

Wraz z Wichrem powróciła do drużyny dawna energia i zapłon. Zaprzęg pod przewodnictwem Pioruna wygrał w wyścigu otwierającym nowy sezon. Psy postanowiły jednak, że to Wicher, choć tym razem nie był przodownikiem zaprzęgu, odbierze wraz z maszerem nagrodę za pierwsze miejsce. Pokonał przecież długą i trudną drogę, by osiągnąć zwycięstwo. Kto wie, czy nie trudniejszą niż pozostałe psy z zaprzęgu...

– Wiecie, po raz pierwszy wygrałem, nie biegnąc jako pierwszy – przyznał zaskoczony Wicher. – I muszę wam powiedzieć, że wspólnie wypracowane zwycięstwo smakuje dużo bardziej.

Marta Jurek



Opowieść wróżki

(dla dzieci z mniejszym poczuciem wartości)

W pewnej krainie żyła sobie rodzina, w której było czterech chłopców, a każdy z nich inny. Może dlatego często dochodziło między nimi do kłótni. Rodzice bardzo się tym martwili, nie wiedzieli, co mają robić, i postanowili poprosić o pomoc mądrą wróżkę. Udali się do niej po poradę i zapytali, czemu ich synkowie są tacy różni i nie mogą się ze sobą pogodzić. Wróżka wysłuchała zatroskanych rodziców uważnie i postanowiła opowiedzieć im pewną historię. Zaczęła więc swoją opowieść.

„Tu, całkiem niedaleko, żyje bardzo kochająca się rodzina z czwórką dzieci: dwiema dziewczynkami i dwoma chłopcami, którzy często się ze sobą bawią i wiele rozmawiają. Jedna z dziewczynek, Samanta, jest bardzo szybka i chętnie wymyśla rodzeństwu wspólne zabawy. Lubi też we wszystkim być pierwsza i zawsze to ona najwcześniej siada do posiłków, najszybciej jest gotowa do szkoły, pierwsza odrabia zadanie. Ale niestety Samanta nie zawsze wszystko robi dokładnie, bo kiedy się spieszy, zostawia po sobie straszny bałagan, zapomina o umyciu rąk

przed jedzeniem czy też brzydko pisze swoje zadanie w zeszytce. Rodzeństwo jednak wybacza jej wszystkie wady, ponieważ Samanta zawsze wie, co trzeba zrobić w trudnej sytuacji, umie doradzić rodzeństwu i jest bardzo dobrym przewodnikiem na wszystkich rodzinnych wycieczkach.

Druga z dziewczynek, Felicja, jest zupełnie inna. Robi wszystko bardzo wolno, co czasami drażni rodzeństwo. Musi mieć zawsze dużo więcej czasu na przygotowanie się do wszystkiego i często cała rodzina czeka na nią przed wspólnym wyruszeniem z domu. Ale wszystkim szybko wraca humor, kiedy okazuje się, że dziewczynka pomyślała o tym, by zabrać dla całej rodziny jakieś pyszności na drogę lub by posprzątać po wszystkich porzucane rzeczy.

A jest co sprzątać, bo szczególnie jeden z braci, Cezary, to straszny bałaganiarz. Potrafi tak porzucić swoje rzeczy, że później nie może nic znaleźć. Wtedy bardzo się denerwuje i złości na rodzeństwo, że to wszystko przez nie, bo to na pewno ono mu coś pochowało. Ale cała rodzina wie, że jeżeli komuś z nich coś by się stało, byłoby w jakimś niebezpieczeństwie, pierwszy z pomocą przybiegnie Cezary. Dlatego dzieci bardzo kochają brata i pozwalają mu się złościć.

Owe fochy brata złośnika najbardziej przeżywa drugi z braci, Maurycy. Czasami nawet zaczyna płakać, przestraszony krzykami brata. Wtedy w domu wybucha prawdziwa awantura, bo jeden z chłopców krzyczy, drugi płacze, a rodzice denerwują się na obu. Dziewczynki wiedzą, że wówczas najlepiej zamknąć się w pokoju i tam przeczekać domową burzę. Tym bardziej że chłopcom szybko przechodzi, a Maurycy przynosi nawet mamie z ogrodu pięknego kwiatka lub jakieś owoce. Również podczas wspólnych wycieczek umie zawsze wypatrzeć coś wspaniałego, czego nikt inny nie zauważył, zachwyca się pięknymi motylkami czy ptaszkami i rodzice wtedy mówią, że Maurycy jest bardzo wrażliwy.





Każde z dzieci pozostaje więc inne, tak jak to bywa w rodzinie zatroskanych rodziców. Każde ma swoje wady i zalety, ale, mimo różnic między rodzeństwem, wszyscy się bardzo kochają, lubią wspólne zabawy i wiedzą, że wielu rzeczy nie mogliby zrobić sami”.

Wróżka na tym zakończyła opowieść i zapytała, czy i tak jest w rodzinie przybyszy. Rodzice odpowiedzieli, że ich dzieci są bardzo podobne do dzieci z tej znanej wróżce rodziny i chyba już wiedzą, co zrobić, by chłopcy żyli w zgodzie.

Wrócili do domu i opowiedzieli swoim synom historię wróżki. Na koniec dodali, że każdy z nich podobny jest do jednego z dzieci opisywanych przez wróżkę, bo każdy jest przecież inny, ale oni każdego tak samo kochają.

Chłopcy długo milczeli po zakończeniu opowieści, a później powiedzieli, że wreszcie zrozumieli trudne słowo, które usłyszeli kiedyś od kogoś starszego. To słowo to TOLERANCJA i chłopcy zrozumieli, że jest ono magiczne, bo pozwoli im na wspólne zabawy w zgodzie. Tak naprawdę oni się bardzo kochają i uwielbiają być razem, tylko do tej pory nie wiedzieli, dlaczego tak często nie mogą się ze sobą porozumieć. Chłopcy, uradowani, zasiedli do wspólnej zabawy, a rodzice ze spokojem przyglądali się czterem synkom, wiedząc, że opowieść mądrej wróżki odmieniła ich rodzinę.

Lidia Ippoldt



Zły humor Piotrusia

(dla dzieci chorych i ich zdrowych kolegów)

Piotruś chętnie chodził do szkoły. Był już w II klasie i bardzo dobrze się uczył. Świetnie liczył i bez kłopotu czytał nawet grube książki. Umiał też niezłe skakać i grać w badmintona. Codziennie rano dumnie kroczył z dużym tornistrem do szkoły, wesoło podśpiewując. Zdarzało się jednak, że wracał już w nie tak dobrym humorze. Był czasami smutny i zmartwiony tym, że koledzy z klasy nie zawsze chcą się z nim bawić. Czasami chyba nawet się go boją.

„Dlaczego dzieci przede mną uciekają?” – zastanawiał się strapiony chłopczyk. „Przecież nigdy nikomu nic złego nie zrobiłem...” – rozmyślał.

Dzisiaj Piotrek znowu wracał ze szkoły, zastanawiając się nad swoim problemem. Mimo że dostał kolejną dobrą ocenę w szkole, wcale nie wyglądał na radosnego. Humor psuło mu zachowanie kolegów, gdy wyciągnął strzykawkę i robił sobie zastrzyk. Choć wszyscy wiedzieli, że ich kolega ma ją zawsze przy sobie, a także do czego ona służy, gdy tylko Piotruś ją wyciągał, pra-



wie wszyscy uciekali w popłochu lub udawali, że muszą gdzieś właśnie wyjść z klasy. Chłopiec wiedział, że koledzy boją się jego strzykawki, a może nawet jego samego.

Postanowił wreszcie porozmawiać o tym z rodzicami. Po obiedzie został przy stole i opowiedział rodzicom o zachowaniu dzieci w szkole. Rodzice popatrzyli na siebie zatroskani, a później mama przytuliła mocno synka i obiecała, że postara się mu pomóc. Tatuś dodał, że z pewnością już niedługo wspólnie rozwiążą problem.

Następnego dnia rano mama powiedziała Piotrusiowi, żeby zaczekał na nią po lekcjach w szkole. Chłopczyk nie wiedział, dlaczego jego mama wybiera się do szkoły, bo już przecież od dawna wracał do domu sam. W drodze powrotnej do domu mama długo rozmawiała z synkiem, mówiąc mu, że wszystko omówiła z wychowawczynią. Brzmiało to nieco tajemniczo, ale Piotruś nie chciał wypytywać mamy o szczegóły.

Następnego dnia jak zwykle radośnie wkroczył do szkoły. Na pierwszą lekcję wychowawczynie weszła do klasy z kilkoma dużymi planszami i pudełkiem. Wszyscy uczniowie przyglądali się im z ogromnym zainteresowaniem. Pani pokazała dzieciom pierwszą z nich, na której była duża strzykawka. Wszyscy popatrzyli na Piotrusia i zakrzyknęli chórem, że to strzykawka ich kolegi.

– No właśnie – powiedziała pani. – Dzisiaj porozmawiamy sobie o cukrzycy, bo tak nazywa się choroba Piotrusia – dodała pani wychowawczynie.

– To Piotrek jest chory? – zdziwili się niektórzy.

– A co to za choroba? – dopytywali inni.

Pani poprosiła Piotrusia, by wszystkim wyjaśnił, czym jest cukrzyca i dlaczego ktoś, kto na nią choruje, musi sobie robić zastrzyki. Kiedy tylko chłopiec wymieniał jakieś trudne słowo, którego jego koledzy nie rozumieli, pani przychodziła z pomo-





cą, wyciągając którąś z plansz, na których były różne słowa i rysunki. Później zdjęła z półki misia, klasową maskotkę, i wyjęła z pudełka strzykawkę, którą przyniosła. Chłopiec poczuł się bardzo dumny. Wszyscy koledzy uważnie się przyglądali temu, co Piotruś robi, a później każdy chciał spróbować zrobić zastrzyk misiowi.

Na koniec pani wychowawczynie wyciągnęła koperty, w których dzieci miały rozsypankę. Każdy próbował znaleźć wyjaśnienia wyrazów, które wcześniej wymieniał Piotrek, i ułożyć je w parę. Uczniowie starali się to zrobić jak najszybciej, bo dla pierwszej osoby, która poprawnie rozwiąże zadanie, pani przygotowała specjalną nagrodę. Jurorami była pani i oczywiście główny ekspert od cukrzycy – Piotrek.

Ale była fajna zabawa!

Później Piotruś musiał sobie zrobić prawdziwy zastrzyk, ale tym razem nikt już przed nim nie uciekał. Wszyscy patrzyli na niego z podziwem, a niektórym było nawet wstyd, że wcześniej bali się strzykawki Piotrka i przez to nie chcieli się z nim bawić.

Od tej pory w klasie chłopca panowała zawsze bardzo wesoła atmosfera, a Piotrusiowi już nic nie psuło humoru i nie odbierało codziennej radości chodzenia do szkoły.

Lidia Ippoldt



Bajka o tchórzliwej muszce i mołu książkowym

(dla dzieci z lękiem wysokości)

– *A*ej, to moja półka! – jakiś głos rozległ się nie wiadomo skąd.

Mała muszka rozejrzała się wokoło, lecz nigdzie nikogo nie było.

– No, już cię tu nie ma! To teren prywatny! – usłyszała czyjś wyraźnie zdenerwowany głos.

Nagle spomiędzy dwóch olbrzymich tomów opasłej encyklopedii z wielkim trudem wygramolił się książkowy mól. Wyglądał całkiem jak malusieńki motyl, tylko że jego rozłożyste skrzydełka nie miały tylu kolorów, co u każdego innego motyla. Jego skrzydełka były lekko żółtawe i gdzieś tam tylko pojawiały się na nich nieco ciemniejsze plamki. No i w przeciwieństwie do



motyli skrzydełek całe pokryte były cieniutkimi, błyszczącymi nitczkami, które mieniły się w słońcu i z daleka wyglądały jak ciepłe zimowe futerko.

– W bibliotece jest milion innych półek, że o biurkach nie wspomnę, więc wybierz sobie łaskawie inną półkę, bo ta jest już zajęta! – powiedział stanowczo mól i odwrócił się na pięcie, by wcisnąć się znów między opasłe tomy.

Lecz muszka ani drgnęła. Siedziała trochę wystraszona na najniższej półce ogromnego regału sięgającego aż po sam sufit i jakby wcale nie zamierzała się nigdzie stamtąd ruszać.

Takich regałów rzeczywiście było tu co niemiara i każdy miał niezliczoną liczbę półek, od podłogi aż po sam sufit. A na tych półkach były ciasno poupychane przeróżne książki, jak to zwykle bywa w starych bibliotekach.



Jednak ta półka spodobała się muszce najbardziej. Raz – że była najniżej, a dwa – że tylko na tę właśnie półkę padały ciepłe promienie wiosennego słońca. A muszka bardzo lubiła siedzieć sobie w słońcu. Mogła wtedy rozkładać swoje małe skrzydełka i patrzeć z podziwem na ich cień, który sprawiał, że skrzydełka wydawały się być dwa razy większe niż w rzeczywistości. Trzepotała więc nimi zamasyżuje, jakby marzyła, że jest wielką, odważną muchą i fruwa gdzieś wysoko, wysoko pod sufitem.

– Halo! Powiedziałem przecież, że to moja półka! – powtórzył nieco głośniejszym głosem i poczuł, że powoli traci cierpliwość.

– No już, raz, raz... szerokiej drogi, przyjacielu – i zachęcająco poklepał muszkę po plecach, mając nadzieję, że ta rozłoży swe przeźrocyste skrzydełka i pofrunie wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej stąd.

Nic takiego jednak się nie stało, muszka nadal siedziała w miejscu i tylko przestraszona jęknęła cichutko:

– Ale ja nie mogę.

– Nie mogę, nie mogę – przedrzeźniał ją książkowy mól.

– Skoro jakoś się tu znalazłaś, to równie dobrze możesz stąd zniknąć.

Muszka westchnęła ze smutkiem, bo, owszem, jakoś się tu znalazła, lecz nie była to wcale taka prosta sprawa. Nawet najniższa półka przyprawiała ją o zawrót głowy i mdłości, nie mówiąc już o wyższych półkach czy parapetach.

– Ja mam lęk wysokości – wydusiła wreszcie. – Nie mogę tak po prostu odlecieć sobie. Boję się latać.

Książkowy mól czegoś takiego jeszcze w życiu nie słyszał. Nie było dla niego tajemnicą, że w muszym świecie panuje wielka różnorodność. Sam widział małe, żwawe muszki, które niepostrzeżenie przelatwały z kąta w kąt i przysiadły dyskretnie na książkach. Znał ospałe i leniwe muszyska, które wygrzewały się na parapetach, i muchy akrobatki wędrujące po suficie do



góry nogami wbrew grawitacji. Słyszał, że zdarzają się też – i to wcale nierzadko – muchy łakomczuchy, które pchają się do zup i kompotów. Ale nigdy dotąd nie spotkał muchy cierpiącej na lęk wysokości i bojącej się latać.

– Tchórzliwa mucha – mruknął pod nosem. – Dziwne.

– Ale co w tym dziwnego? – zapytała smutnie muszka. – Zwyczajnie się boję i już.

– No to dość dziwna przypadłość jak na muchę – zamyślił się książkowy mól. – Rozumiem, że karaluchy mogą się bać latać czy – dajmy na to – mrówki. Choć słyszałem, że na przykład niektóre mrówki mają skrzydła i latają wyśmienicie. Ale żeby mucha miała lęk wysokości... to niebywałe.

Tchórzliwa muszka spuściła głowę i zrobiło jej się strasznie smutno, bo skoro mól książkowy nigdy dotąd takiej muszki nie spotkał, to widocznie takich muszek nie ma i nie ma też sposobu, by ona sama pozbyła się swojego lęku wysokości i mogła latać beztrudnie, jak motyle, biedronki czy wszystkie inne odważne muszki.

– Coś mi się zdaje, że sprawa jest poważniejsza niż myślałem – rzekł książkowy mól i podrapał się po swym kosmatym łebku, po czym zaczął się wciskać między opasłe tomiska wielkiej encyklopedii.

Muszce zrobiło się wtedy jeszcze smutniej, bo nie dość, że już wdrapała się na tę wcale niewysoką półkę, a z miejsca poczuła lekki zawrót głowy, to na domiar złego wcale nie wiedziała, jak stamtąd zejść, a mól gdzieś sobie poszedł i została całkiem sama ze swoim strachem.

– No to koniec – szepnęła cichutko.

Lecz to wcale nie był koniec. Bo owszem, trochę to potrwało, zanim mól znalazł odpowiednią stronę i przeczytał wszystko jak należy, ale w końcu spośród ciasno ściśniętych stronic encyklopedii dobiegł ją lekko stłumiony głos:



– Ha! Już wszystko jasne!

Muszka rozchmurzyła się nieco, słysząc te słowa, bo pomyślała sobie, że jak coś zrobiło się nagle jasne, to na pewno oznacza to jakieś dobre wiadomości. I rzeczywiście tak właśnie było, bo kiedy mól z powrotem przecisnął się przez grube tomiska, miał bardzo zadowoloną minę.

– Wszystko jasne! – wykrzyknął ponownie zadowolony. – Lęk wysokości jest całkiem wyleczalny, a pokonać go można małymi krokami.

Muszka zrobiła trzy kroczyki w przód i jeszcze dwa w tył, ale wcale nie poczuła się lepiej.

– Nic z tego – rzekła zrezygnowana.

Ale mól tak łatwo się nie poddał i wytłumaczył muszce, że nie chodzi wcale o to, by dreptać w miejscu, lecz o to, by się ze strachem powoli oswoić. A potem pomału – czyli właśnie małymi kroczkami – spróbować go pokonać. Poradził jej, żeby najpierw przeleciała z jednego końca półki na drugi, potem z tej półki na wyższą, z wyższej półki na krzesło, i tak krok po kroku pokona swój strach przed lataniem.

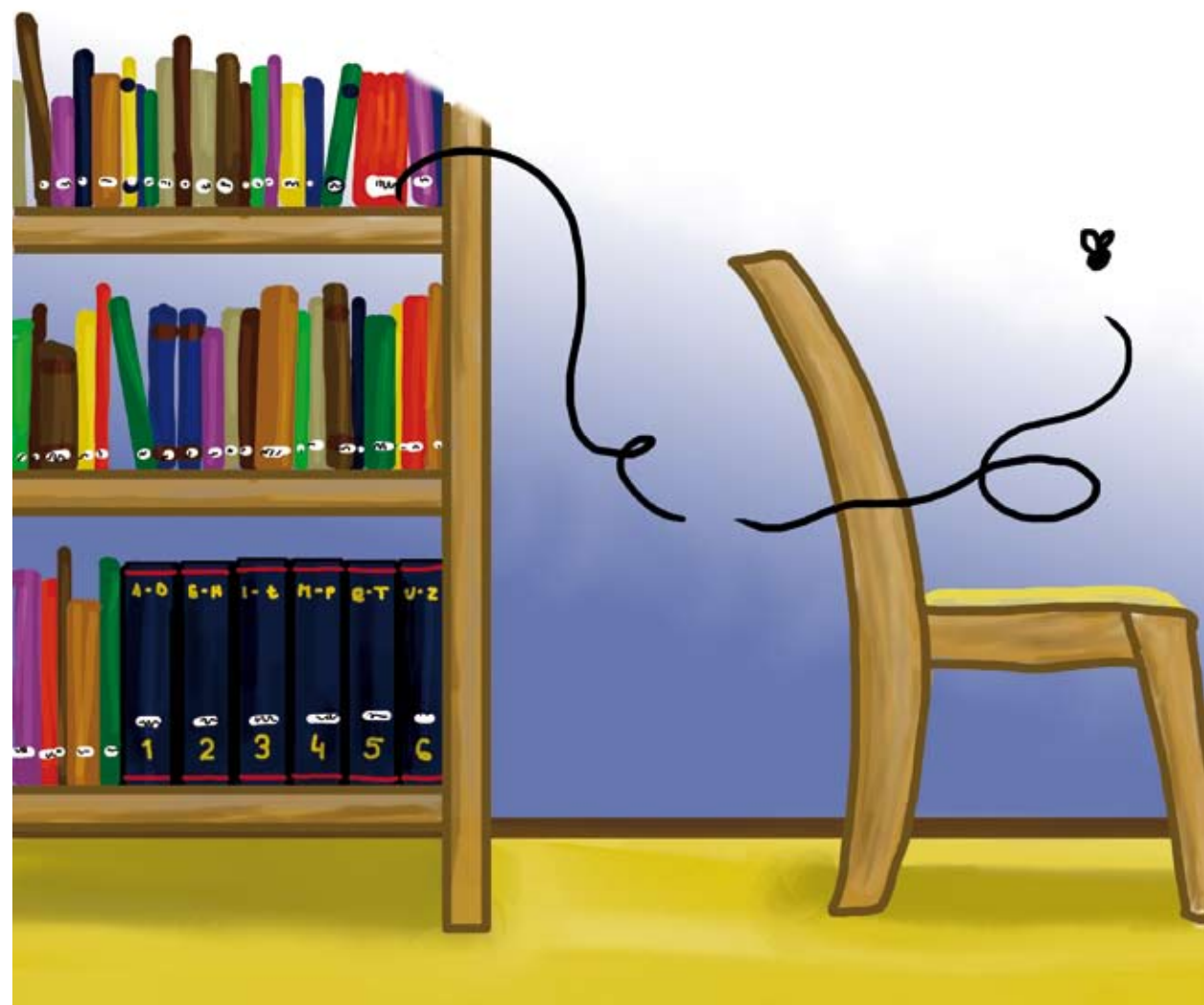
– I kluczowa rzecz – dodał mól z poważną miną. – Kiedy nagle na wyższej półce dopadnie cię strach, pomyśl o czymś przyjemnym, to z pewnością go przepędzi.

Muszka wzięła sobie do swojego muszego serca te wszystkie rady i z nadzieją małymi krokami zaczęła się oswajać ze swoim strachem. Pierwszego dnia podeszła do krawędzi półki i nieśmiało spojrzała w dół, by przyzwyczaić się do nieznaczonej wysokości. Drugiego już wcale nie bała się patrzeć w dół, więc zabzyczała dzielnie, rozpędziła się i przeleciała najpierw wzdłuż półki, a potem nawet podfrunęła na czubek wielkiej encyklopedii. Po tygodniu zaś pomachała rażno molowi na do widzenia, po czym szybko poleciała na wyższą półkę, a potem na kolejną i jeszcze jedną. Tam chwilę pospacerowała, porozglądała

się wkoło i chyba nawet pomyślała na wszelki wypadek o czymś przyjemnym, lecz po strachu nie było już śladu. Wtedy rozłożyła swoje małe, przezroczyste skrzydełka, radośnie zatrzepotała nimi zamasyżuje i pofrunęła daleko, daleko w stronę krzesła.

Lecz tam mól już jej nie mógł dojrzeć, bo od tego ciągłego przesiadywania w książkach całkiem wzrok mu się popsuł. Wcisnął się więc między opasłe tomiska wielkiej encyklopedii i cieszył się bardzo, że wreszcie to mrowie literek na coś się przydało.

Agnieszka Borowiecka



O niewinnie posadzonym lisie

(dla dzieci, które zbyt szybko oceniają kolegów)

„Jesień to bardzo piękna, ale i bardzo męcząca pora roku” – pomyślał lis Jacek, grabiąc różnobarwne liście nieopodal swojej norki.

Wiatr dął i huczał przenikliwie, szarpiąc szalikiem Jacka we wszystkie możliwe strony i nanosząc wciąż nowe liście tuż przed drzwi jego domku. Wtem lis usłyszał nad sobą ciche chrupanie. Zadarł głowę i zobaczył siedzącą na gałęzi drzewa wiewiórkę Ryśkę zajadającą się orzechami.

– Dzień dobry! – pomachał do niej radośnie. – Jak się masz, sąsiadko, w ten wietrzny dzień?

– Dziękuję, dobrze. Szykuję właśnie zapasy na zimę – odpowiedziała wiewiórka, z trudem przytrzymując łapkami zgromadzone orzechy, aby złośliwe wietrzysko ich nie porwało.

– W takim razie nie przeszkadzam! Pewnie się jeszcze zobaczymy, nim spadnie pierwszy śnieg! Do widzenia!



– Do widzenia, Jacku! – pożegnała się wiewiórka, wtaczając mozolnie do swej dziupli smakowity orzech i zupełnie nie zwracając uwagi na to, że wiatr zdmuchnął cztery, dorodne orzechy, które pozostawiła na gałęzi.

Jak to zwykle o tej porze roku bywa, zmierzch zapadł dość wcześnie. Las spowiła delikatna mgiełka. Kiedy lis Jacek siedział w swej kuchni i jadł kolację, niespodziewanie rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto to może być o tak późnej porze? – zdziwił się Jacek.

W drzwiach stała wiewiórka Ryśka.

– Jacku, przepraszam, że przychodzę tak późno, ale muszę cię o coś zapytać.

– Słucham – Jacek uprzejmie wskazał jej ręką krzesło, zapraszając, by się rozgościła.





– Czy zabrałeś dziś może kilka moich orzechów?

Jacek zdziwił się bardzo tym pytaniem.

– Nie wziąłem ani jednego – zapewnił. – Widziałaś przecież, że grabiłem liście, kiedy chowałaś je do swojej dziupli. Jak więc mógłbym je zabrać?

Wiewiórka Ryśka wydawała się jednak nie dowierzać słowom Jacka.

– Nie wiem, jak to się stało, ale brakuje mi kilku orzechów. Schowałam jeden z nich do spiżarni, a kiedy wyszłam po pozostałe, już ich nie było. Przeszukałam całą okolicę, jednak bez rezultatu. Przecież nie mogły rozpułnąć się w powietrzu... Myślałam, że może ty je masz, bo akurat byłeś wtedy pod drzewem i tylko ty je widziałeś.

Jacek zasmucił się bardzo.

Dlaczego Ryśka w ogóle pomyślała, że mógłby jej ukraść część jej zapasów? Nigdy przecież nie przywłaszczył sobie cudzej własności.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznał. – Nie potrafię ci udowodnić, że ich nie wziąłem, ale przysięgam, że to nie ja! Zresztą nie mam ich w domu, możesz to sprawdzić.

– W porządku. Nie będę przecież przeszukiwać twoich rzeczy. Może się jeszcze znajdują... Do widzenia, Jacku – pożegnała się wiewiórka.

– Do widzenia – odpowiedział jej Jacek, czując, że Ryśka nie jest przekonana o jego uczciwości.

Nazajutrz Jacek wyruszył z koszykiem w ręce do swojego dobrego przyjaciela jeża Emila. Mieszkał on wprawdzie na drugim końcu lasu, co wiązało się z długą wędrówką, ale za to zawsze miał dla Jacka soczyste i smaczne jabłka, które ten bardzo lubił i z których piekł szarlotkę dla gości. Wiatr ustał, słońce przedzierało się przez bezlistne już gdzieśgdzie gałęzie drzew, a w oddali słychać było rytmiczne stukanie dzięcioła.



„Piękny dzień! Pogoda sprzyja mi w mojej wędrówce” – pomyślał Jacek i ucieszył się, widząc nadchodzące z naprzeciwka dwie sarny.

– Dzień dobry! Jak to dobrze, że mamy dziś taką ładną pogodę, prawda? – zagadnął Jacek.

Sarenki popatrzyły jednak znacząco jedna na drugą i minęły liska, odpowiadając mu od niechcienia.

„Co im się stało?” – Jacek popatrzył za nimi zdziwiony.

– Słyszałaś? – jedna z saren ściszyła głos i nachyliła się w stronę drugiej. – Podobno Jacek podkraść wiewiórcę orzechy, tylko nie chce się do tego przyznać.

– Słyszałam! Zawsze jest taki uprzejmy i gościnnie, a tu proszę! Teraz to już nikomu nie można ufać – oburzyła się druga, i obie odeszły urażone, odwracając jeszcze raz głowy i spoglądając na Jacka niechętnie.

Lisek poczuł, że coś dławi go w gardle. Przecież on nie wziął żadnych orzechów! Nie wie nawet, co się z nimi stało! Teraz w lesie będą myśleli, że jest złodziejem, a to nie on!

Kiedy dotarł w końcu do domku Emila, smutek na jego pyszczku był tak wyraźny, że przyjaciel od razu zapytał go, co się stało.

– Spotkało mnie coś strasznego, Emilu – wyznał lisek, kładąc pusty koszyk na stole w kuchni i siadając na wskazanym krześle. – Moja sąsiadka wiewiórka Ryśka posądziła mnie, niby nie wprost, ale jednak, o kradzież kilku orzechów.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Emil, wybierając co ładniejsze jabłka i wkładając je Jackowi do koszyka. – Trzeba jej było powiedzieć, że niczego nie brałaś.

– Myślisz, że tak nie zrobiłem? Ryśka jednak nie dała się przekonać. Na nieszczęście akurat tylko ja widziałem, jak chowa sobie te orzechy do spiżarni, bo właśnie w tym samym czasie grabiłem liście w ogrodzie. Wszystko zatem wskazuje na mnie!



Widziałem je ostatni, obserwowałem, kiedy weszła do domu, i mogłem ukraść je w dogodnym momencie... Poza tym orzechy naprawdę zniknęły, zatem ktoś musiał je zabrać, a ja złodzieja nie widziałem. Kto zatem nim jest? Wszyscy teraz myślą, że ja! – załamany Jacek ukrył pyszczek w dłoniach.

Emil dostrzegł spływającą po rudym, drżącym futerku małą łzę.

– Nie martw się – próbował pocieszyć przyjaciela. – Prawda musi wyjść na jaw. Orzechy na pewno się znajdą i wszyscy ostatecznie się przekonają, że to nie ty.

– Mam nadzieję...

Zbliżało się popołudnie, kiedy Jacek wyciągnął z piekarnika pachnącą, gorącą szarlotkę. Wszystko już było gotowe na przyjęcie zaproszonych gości. Stół nakryty, ciasto upieczone, teraz tylko pozostało czekać. Niestety, zegar wiszący na ścianie w kuchni tykał miarowo, odliczając kolejne minuty, a w końcu godziny. Nikt nie przychodził...

Tymczasem do drzwi Emila rozległo się głośnie pukanie. Kiedy otworzył, ujrzał przed domem grupę zwierząt, złożoną z wiewiórek, sowy, czterech saren, dzika i borsuka.

– Dobry wieczór, Emilu – przywitała się wiewiórka Ryśka sprawiająca wrażenie przewodniczącej całej grupy.



– Dobry wieczór – odpowiedział Emil, przeczuwając, w jakiej sprawie przyszyły te wszystkie zwierzęta, i nie spodziewając się niczego miłego po tym spotkaniu.

– Zapewne słyszałeś o kradzieżach, jakie w ciągu ostatnich dwóch dni dokonały się w naszym lesie – zaczęła swoją przemowę Ryśka.

– Owszem, słyszałem, że zginęło ci kilka orzechów – przyznał Emil.

– Przypuśćmy, że rzeczywiście zginęły – zgodziła się z przekąsem wiewiórka. – Dziwnym trafem w podobnych, niejasnych okolicznościach dziś rano zginęły także okulary do czytania naszej sowy. Biedaczka usnęła nad książką, a kiedy się obudziła, okularów już nie było...

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – zniecierpliwiał się Emil.

Ryśka spojrzała na inne zwierzęta, jak gdyby szukając w nich wsparcia.

– Ty osobiście nic, ale przyjaźnisz się z lisem, więc mógłbyś z nim porozmawiać i przekonać go do przyznania się, że wziął orzechy i okulary, oraz by je nam oddał. Wtedy może zapomniemy o całej sprawie – zabrała głos sowa.

Emil, który dobrze znał lisa Jacka i często doświadczył od niego życzliwej, bezinteresownej pomocy, poczuł narastający gniew:

– Jak możecie posądzać Jacka? Przecież wiecie, że to najbardziej poczciwy lis, jakiego można sobie wyobrazić! Dlaczego uważacie, że mógłby wam coś ukraść?

– Wszystko przemawia przeciwko niemu – odezwał się borsuk. – No bo kto, jeśli nie on? Takie rzeczy nigdy się w naszym lesie nie działy!

– Dobrze znacie Jacka i wiecie, że on jest uczciwy. Jeśli mówi, że czegoś nie zabrał, to znaczy, że mówi prawdę – bronił przyjaciela Emil.



– A kto to może wiedzieć, jak naprawdę było?! – oburzył się dzik. – Jak mówi stare przysłowie: okazja czyni złodzieja! Tak było, jest i pozostanie, proszę ja kogo! A teraz to on może się wypierać. Jak mawiała moja babka: Co rude, to fałszywe, proszę ja kogo.

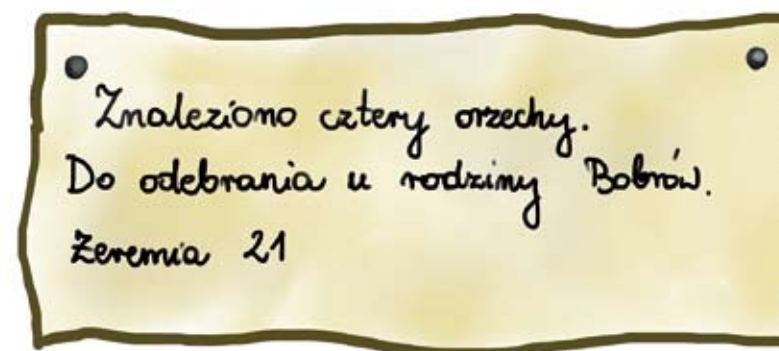
– Zresztą lis to lis – dodała jedna z saren. – Cokolwiek by mówić, przebiegłość ma we krwi.

– Jeśli nie chcesz nam pomóc, to trudno – odrzekła urażona Ryśka. – Może jakoś go przekonamy, żeby się przyznał i zwrócił zagrabione rzeczy... Obyś jednak, Emilu, nie „przejrzał na oczy” zbyt późno, gdy i tobie coś zginie.

Zacietrzewione towarzystwo odeszło wyraźnie urażone tym, że Emil nie stanął po ich stronie.

– Biedny Jacek – pomyślał z trwogą jeżyk. – Jak mu teraz pomóc?

Następnego dnia, gdy tylko słońce rozświetliło nocny mrok, Emil wyruszył w odwiedziny do przyjaciela. Spodziewał się, że Jacek jest w złej formie i że może się nawet wstydzi pokazać w lesie. Ledwie jeżyk skręcił w prawo za pierwszą polaną, ujrzał przed sobą potężny dąb, a na jego korze zawieszoną jakąś karteczkę. Zdziwiony podszedł bliżej i odczytał, nie dowierzając z radości:



Drzwi otworzyła mu pani Bobrowa, otoczona gromadką małych bobrów. Od razu pokazała wspomniane w ogłoszeniu orzechy, zapewniając, że zawiesiła je na drzewie natychmiast, gdy tylko zobaczyła, czym jej dzieci bawiły się w rzece.

– Wiatr je musiał przywiał aż do nas, bo my nigdy nie wychodzimy tak wysoko na drzewa. Teraz wiewiórki gromadzą sobie zapasy na zimę i pomyślałam, że pewnie któraś z nich ich szuka.

– Bardzo pani dziękuję. Rzeczywiście, sąsiadka mojego przyjaciela od kilku dni poszukuje złodzieja i bardzo się denerwuje.

– Przyniosłem twoją zgubę – powiedział z dumą Emil, otwierając zaciśniętą garść i pokazując wiewiórcę Ryśce cztery, dorodne orzechy.

Wiewiórka popatrzyła na nie ze zdumieniem. Tak, nie było żadnych wątpliwości, że to były te same, wielkie i apetycznie wyglądające orzechy, których tyle szukała.

– Skąd je masz? – spytała. – Jacek ci je oddał?

– Nie, dała mi je pani Bobrowa – odparł z nieskrywaną satysfakcją Emil. – Zamieściła właśnie ogłoszenie o znalezionych orzechach. Jej dzieci bawiły się nimi, bo wiatr przygnał je aż nad rzekę.

Ryśka zaczerwieniła się i zwiesiła głowę...

– W takim razie to nie lis Jacek...

Wtem rozległ się dźwięk telefonu.

– Halo? – odebrała wiewiórka. – Dzień dobry, sowo. Słucham cię... Ach tak... Twoje okulary też się znalazły... Tak, moje orzechy, jak się okazało, porwał wiatr i przywiał aż do bobrów... Do widzenia!

Emil spojrział na Ryśkę pytająco, czekając na wyjaśnienie.

– Okulary sowy porwała sroka. W dniu, w którym zginęły, było słonecznie i okulary świeciły się w słońcu. Sroka myślała, że to jakieś drogocenne szkiełka, i porwała je ze sobą, ale że było jej niewygodnie, wypuściła je z dzioba gdzieś na polanie. O mało co nie wpadły kretowi do norki.



– Musicie jak najszybciej przeprosić Jacka – przypomniał Emil, ciesząc się, że przyjaciel zostanie oczyszczony z zarzutów.

Kiedy wiewiórki, sowa i wszyscy inni mieszkańcy lasu dotarli do domku Jacka, ten właśnie zamykał za sobą drzwi, a w ręku trzymał podróżny plecak.

– Co ty robisz, Jacku? – spytał Emil. – Czyżbyś chciał odejść z lasu?

– Nic tu po mnie, skoro nikt mi nie ufa. Poszukam miejsca gdzie indziej – odparł lis.

– Jacku, ale my właśnie przyszliśmy cię przeprosić – odezwała się sowa.

– Posadziliśmy cię niesłusznie – przyznała wiewiórka. – Moje orzechy zwiął wiatr, a okulary sowy porwała sroka. Naprawdę sama nie wiem, jak mogłam ci nie wierzyć...

Jacek patrzył na zgromadzone zwierzęta czerwonymi od łez oczami. Zapanowało niezręczne milczenie. Zaginione przedmioty się odnalazły, ale niesłuszne oskarżenia spowodowały, że trudno było rozmawiać. Jacek jednak nie był pamiętliwy i na jego pyszczku zaczęła się pojawiać radość.

– Dobrze, że znowu mi ufacie – ucieszył się.

– Wszyscy osądziliśmy cię po pozorach. Już nigdy więcej nie popełnimy takiego błędu – przeprosiła sarna, a stojący obok niej dzik chrząknął zgodnie.

Uradowany Emil podszedł do przyjaciela i poklepał go przyjaźnie.

– Moi drodzy, w takim razie nie stójcie tak wszyscy przed domem, bo zadepczecie mi ogród – zażartował Jacek. – Zapraszam wszystkich na szarlotkę, którą wczoraj upiekłem...

Marta Jurek



Ławina w pokoju Dorotki

(dla dzieci niedbających o ład i porządek w swoim otoczeniu)

Cześć! Nazywam się Gutek i jestem pluszowym hipopotamem. Mam do Was pytanie: czy zdarzyło się wam kiedykolwiek odejść z miejsca zabawy, nie odkładając zabawek na swoje miejsce? Jeśli tak, to koniecznie musicie poznać moją historię! Wydarzyła się ona jakiś czas temu, ale pamiętam ją do dziś.

Tego dnia Dorotka, dziewczynka, u której mieszkaliśmy, wróciła ze szkoły wcześniej. Kiedy tylko usłyszeliśmy jej tupanie na schodach, ogarnął nas popłoch. Bardzo kochaliśmy Dorotkę i byliśmy do niej przywiązani, ale niestety wszyscy musieliśmy to przyznać, że Dorotka należała do okropnych bałaganiarek. W całym pokoju znany był przypadek dwóch wyścigówek, które po wspólnej zabawie Dorotki z koleżankami nie mogły się odnaleźć przez dwa dni. Wszyscy też słyszeli o losie małego królika Fruttika, znalezionej w koszu na pranie, w którym leżał zapłakany i przerażony prawie przez tydzień. Krążyła także historia zebry Danusi, która pewnego dnia po



prostu zawieruszyła się gdzieś Dorotce podczas zabawy i odtąd nikt jej nie widział...

Dorotka otworzyła drzwi do swego pokoju zamaszystym ruchem i rzucając tornister za siebie tak, że o mało nie uderzyła w łebek siedzącego w kąciu pluszowego kangura, podbiegła do pudełka z klockami, po czym wyrzuciła całą zawartość na podłogę. Siedziałem tuż obok dziewczynki, obserwując, jak dobiera kolejne klocki i odrzuca ze złością te, które nie pasowały. Nagle jeden z klocków uderzył mnie w głowę:

– Au! – rozmasowałem delikatnie łapką obolałe miejsce, czego moja właścicielka nawet nie zauważyła, ale... co to?... Spadł na mnie następny klocek i jeszcze jeden, i kolejny, i... nagle przysypała mnie cała lawina klocków!

– O rety! Nie mogę oddychać! Pomocy!

Niestety, nikt nie słyszał mojego wołania. Tymczasem im bardziej próbowałem się wydostać, tym głębiej się zapadałem, przykrywany przez kolejne klocki.

„Co teraz?” – rozmyślałem, otoczony zewsząd ciężkimi, ugniatającymi klockami.

Po pewnym czasie udało mi się wydrążyć łapkami na tyle szeroką szczelinę pomiędzy klockami, że mogłem w miarę wygodnie usiąść. Mówiąc między nami, nie wyobrażacie sobie nawet, jak trudno jest przenosić klocki, kiedy ma się tak małe łapki. Poza tym łebek bolał mnie tak bardzo, że niemal czułem, jak wyrasta mi na nim okazały guz.

„Na pewno, kiedy Dorotka skończy zabawę klockami, posprząta je, a wtedy zobaczy, że tu jestem i wrócę do swoich przyjaciół” – pocieszałem się, choć było mi coraz bardziej nieprzyjemnie.

Najgorsze było to, że dookoła mnie panowała zupełna ciemność.

„Gdybym chociaż coś widział, może mógłbym ustalić, w jakiej części pokoju jestem...” – pomyślałem zrezygnowany, ponieważ ratunek wciąż nie nadchodził.





Zastanawiałem się, jak długo już tu jestem uwięziony. Próbowałem obliczyć, czy jest możliwe, by Dorotka jeszcze się bawiła klockami, co dawałoby nadzieję, że nie odeszła do innej zabawy i że może już za chwilę uwolni mnie z tej przygniatającej lawiny.

Nagle wydało mi się, że usłyszałem ciche rżenie... Przyłożyłem ucho do otaczającej mnie klockowej ściany i zacząłem uważnie nasłuchiwać. Tak! Nie miałem wątpliwości, że gdzieś tam za otaczającym mnie murem rozlegało się ciche rżenie konia na biegunach. Serce zabiło mi mocniej! Może mnie usłyszą!

– Ratunku! To ja! Jestem tutaj! Słyszycie mnie?! Ratunku!
– krzyczałem na cały głos, ale klocki starannie tłumiły moje nawoływania.

„A gdybym tak spróbował przesunąć choć jeden klocek... może cała ta ściana zawaliłaby się i byłbym wolny!” – pomyślałem z radością i od razu przywarłem całym swoim pluszowym ciałkiem do otaczającego mnie muru.

Niestety, klocki ani drgnęły! Słyszałem coraz wyraźniej dobiegające z pokoju głosy moich przyjaciół.

– Ratunku! Czy ktoś mnie słyszy! – spróbowałem jeszcze raz, wierząc, że na pewno zaczęli mnie szukać.

Wciąż jednak nikt nie odpowiadał.

Zrozpaczony, rzuciłem się ponownie na ścianę i... poczułem, że coś drgnęło! Zadarłem łebek w nadziei, że chwiejący się klocek poruszy pozostałe i mur runie. Ale ku mojemu przerażeniu ogromna bryła spadała wprost na mnie! I zrobiło się jeszcze bardziej ciemno!...

– Gutek, to ty? – usłyszałem nad sobą cichutki, delikatny głos, który wydał mi się dziwnie znajomy.

Otworzyłem oczy i w otaczającym mroku ujrzałem nad sobą znajomy pyszczek. Czy to możliwe, żeby to była..., wprawdzie teraz jest trochę sfatygowana i pokryta kurzem..., ale tak! Przecież to zebra Danusia! Teraz wyraźniej zobaczyłem jej uśmiech!



– Co ty tu robisz? – spytała.
– Sam chciałbym wiedzieć, co ja tu jeszcze robię – zdenerwo-
wałem się, bo nagle dotarło do mnie, że wprawdzie mam towa-
rzysza niedoli, ale nadal jestem uwięziony.

– Przysypały mnie klocki, a gdy próbowałem się wydostać,
okazało się, że pograżyłem się jeszcze bardziej – zacząłem tłu-
maczyć.

– Ale jak ty się tu znalazłaś?

Z pyszczka Danusi nie znikał jej łagodny, dodający otuchy
uśmiech, choć w czarnych oczkach pobłyskiwał smutek.

– Dorotka i ja byłyśmy kiedyś bardzo przywiązane do siebie.
Pewnego dnia wpadłam do szczeliny pomiędzy łóżkiem a ścianą
i tam długo czekałam, aż ktoś mnie odnajdzie. Niestety, Dorotka
zamiast odkładać rzeczy na swoje miejsce, upychała je pod łóż-
kiem. Piramida różnych ubrań, przyborów szkolnych i zabawek
coraz bardziej oddzielała mnie od przyjaciół, a moja nadzieja na
odnalezienie powoli zniknęła...

Wydawało mi się, że w oku Danusi rozbłysła łza. Bałem się ją
zapytać, czy sądzi, że ktoś nas tu w końcu odnajdzie. Przeczyna-
wałem, że ona też czuje strach. Nagle usłyszeliśmy nad sobą czyjś
donośny głos.

– Dorotko, prosiłam cię wczoraj, żebyś posprzątała te klocki.

„To mama Dorotki!” – pomyślałem uradowany. „Zaraz bę-
dziemy uratowani!”

Poczuliśmy, jak powoli, klocek po klocek ustępuje otaczająca
nas ściana i przedostaje się światło wpadające przez okno po-
koju dziewczynki. Spojrzałem w stronę Danusi i ujrzałem, jak
drobne łzy szczęścia spłynęły po jej futerku.

– Proszę, kto się znalazł! – zdziwiła się mama Dorotki, biorąc
na ręce przestraszoną i mocno zakurzoną pluszową zebkę.

– Trzeba będzie cię wyprać – zwróciła się do niej.

– O, proszę, jest i Gutek. A tyle go szukałaś, Dorotko!



Dziewczynka stojąca za plecami mamy przyjrzała się dwójce
zagubionych towarzyszy zabaw.

– Zastanawiam się, czy nie oddamy Danusi i Gutek twojej ku-
zynce. Bardzo jej się podobały te pluszowe zwierzaczki, a ona,
w przeciwieństwie do ciebie, dba o swoje zabawki – powiedziała
mama, zabierając Danusię do łazienki i szykując miednicę do
uprania zwierzątko.

I wtedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Dorotka nag-
le się rozpłakała!

– Nie, mamo! Nie oddawajmy ich! Ja też zacznę pilnować
swoich zabawek! Poukładałam je wszystkie w jednym kąci-
ku, żeby były razem, albo przygotuję dla nich jakiś wygodny koszyk.

Od tej pory nasz los się odmienił. Zamieszkaliśmy w wygod-
nym, przestronnym koszyku, w którym mogliśmy swobodnie
się bawić i rozmawiać ze sobą. Wreszcie mieliśmy swoje własne
miejsce, w którym czuliśmy się bezpiecznie i nikomu nie prze-
szkadzaliśmy. Tego pamiętnego dnia zyskaliśmy jednak nie tyl-
ko nowy dom, ale przede wszystkim powróciła do nas już na
zawsze nasza przyjaciółka, zebra Danusia.

Marta Jurek



Miś Leon

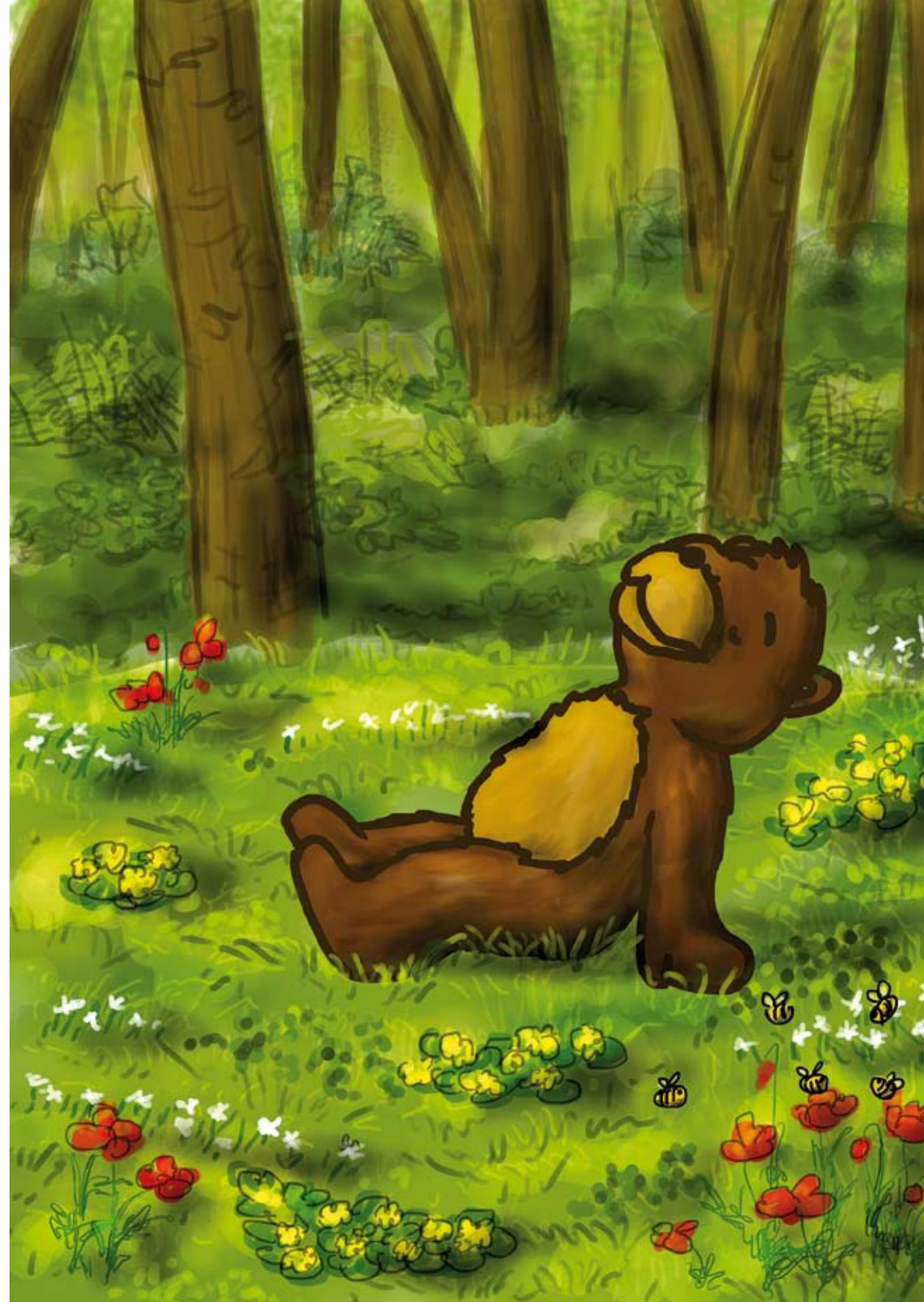
(dla dzieci zmęczonych)

*P*o ciężkim dniu pracy w leśnych głębinach, miś Leon wyszedł na wielką polanę w samym środku lasu. Był bardzo zmęczony, głodny i zły, bo zgubił swój ulubiony kapelusz. Nie zabrał ze sobą nic do jedzenia, choć go mama Misia prosiła, żeby przygotował sobie posiłek do pracy. Nie chciało mu się jednak tego zrobić. Teraz żałował, że jednak niczego ze sobą nie zabrał.

Szedł przed siebie, nie patrząc pod nogi. Małe myszki, koniki polne i żuczki szybko uciekały mu spod nóg w obawie, że je zdepcze przez swoją nieuwagę. Do domu było daleko. Miś Leon zatrzymał się, bo nogi bardzo go bolały. Rozejrzał się dookoła.

Polana wyglądała pięknie – okrągła jak piłka, pokryta trawą, z której wystawały kobierce kolorowych kwiatów. Wszędzie było pełno żółtych kaczeńców, małych, białych stokrotek i czerwonych maków. Najładniejsze wydawały się maki w ciepłym, letnim słońcu.

Miś Leon usiadł w miękkiej trawie. Łapką przejechał po zielonych źdźbłach. Słońce jeszcze mocno grzało mimo popołudniowej pory. Z trawy dochodziło głośnie cykanie świerszczy.



Pszczółki bzyczały cichutko nad łąką, zbierając kwiatowy pyłek na pyszny miodek. Miś oblizwał się na myśl o swoim przysmaku. Mała biedronka usiadła właśnie na zielonym listku koniczynki. Leon przyglądał się jej z uwagą. Lubił biedronki. Widok małego stworzenia go uspokoił. Słońce tak miło go grzało.

Z lasu dochodziła ptasia muzyka, więc Leon wsłuchał się w odgłosy przyrody. Słyszał stukającego dzięcioła, kukającą kukulkę, cykające świerszcze, szelest traw i liści poruszanych lekkim, letnim wiatrem.

To wszystko sprawiło, że poczuł się senny. Ciężkie, zmęczone łapki wyciągnął przed siebie. Przysłonił rączką oczka i zaczął wpatrywać się w niebo. Na niebieskim firmamencie leniwie płynęły białe chmurki. Leon widział w nich różne kształty. Właśnie nad nim płynęła chmurka w kształcie samochodu, za nim podążał wielki słoń. I tak dalej, i dalej... Miś widział najróżniejsze rzeczy. Leon ziewnął.

„Och, jak mi dobrze” – pomyślał sobie. „Nogi mnie już tak bardzo nie bolą. Trawa jest miękka jak dywan w moim pokoju, a słończko tak mnie ogrzewa...”

Pewnie by zasnął w tej trawie, ale nagle głośno zaburczało mu w brzuszku.

„Ale jestem głodny!” – przypomniał sobie Leoś. Podniósł się dość energicznie, rozejrzał się wokoło zadowolony, wstał i różnym krokiem ruszył w stronę domu, cichutko podśpiewując. Szybko pokonywał drogę, wsłuchany w odgłosy łąki i lasu. Nawet nie zauważył, kiedy doszedł do domku. Już z oddali zobaczył mamę Misię machającą do niego z ganku. Leon podniósł łapkę i radośnie odmachał. Był szczęśliwy, że widzi mamę i dom.

„Zawsze będę słuchał jej rad” – powiedział do siebie i ostatni etap drogi pokonał biegiem.



Agnieszka Pospuła